

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 9-go września 1944r.

Rok VI. Nr. 36

# WOLNOŚĆ JEST JEDNA

Wbrew przewidywaniom pesymistów — Warszawa walczy nadal, chociaż z każdym dniem jej położenie staje się co raz gorsze. Nie jest tajemnicą, że braku środków walki nie zastąpi największe nawet męstwo. Jeśli wkrótce nie nadejdzie z zewnątrz skuteczna pomoc, bohaterska epopea Warszawy, epopea walki do kresu możliwości, jedna z najpiękniejszych w dziejach — zakończy się tragicznie...

Nikt tego nie rozumie lepiej od obrońcy Warszawy generała Bora. A jednak w takiej właśnie chwili w przemówieniu radiowym w piątą rocznicę wojny nie zważał się on rzucić hasła: "Przez bój — do zwycięstwa". Iluż spośród nas nie śmie już tego słowa wymówić! Iluż spośród nas przegrywa każdą walkę, nim się ona zaczyna! Iluż z nas już zwątpiło! Gen. Bór nie zwątpił. Jemu tragedia Warszawy, jakżeż dla każdego bolesna, nie przesłania całej sprawy polskiej. Na płonących gruzach stolicy, w przewidywaniu, że bój warszawski skończy się może klęską — wierzy w ostateczne nasze zwycięstwo. Z tym romantycznym gestem, jedynym w naszych warunkach — przejdzie do historii i do najwerniejszej przyjaźni bohaterów: legendy.

Tym, co słowem generała Bora odbiera posmak frazesu — jest wola całego społeczeństwa polskiego w Kraju. Wola dowódców przezwódców, wola szarego człowieka. To on właśnie stał się największym bohaterem w wojnie, w której walczą ze sobą już nie armie, lecz całe społeczności. Szary człowiek w Polsce, dla którego Ojczyzna jakżeż często nie była zbyt troskliwą matką, wykazał nie tylko hart, ale i niezwykły patriotyzm. On, którego jedynym imieniem była, zdawać by się mogło, liczba — dowiódł, że jest jakością. Jednostki, nawet najdzielniejsze, nie porwały za sobą nikogo, gdyby działalność ich nie trafiła na podatny grunt. Bez udziału najszerzych mas naszego społeczeństwa ani walka konspiracyjna, ani bój otwarty nie osiągnąby żadnego wyniku.

Wobec tego szarego człowieka w Polsce zaciągnęliśmy konkretne zobowiązania. Muszą być one wypełnione. Reformy społeczne, nakreślone przez Radę Jedności Narodowej w uchwale z 15.III. b.r. oraz w odezwach z 26.VII. i 15.VIII. b.r. nie mogą być traktowane jako temat do przyszłej dyskusji, lub przedmiot spekulacji politycznych, ale są realnym planem działania, od którego nie wolno odstąpić. Przeszedł już czas zastanawiania się nad tym, jakie reformy społeczne należało by w Polsce przeprowadzić. Nadchodzi czas ich wprowadzenia w życie. Kto by sądził, że jest inaczej, dopuściłby się haniebnego oszustwa względem mas, ofiarnie przelewających swą krew za Ojczyznę. Wobec przyszłości Polski — nie mogłoby być większej zbrodni. Z zaufaniem mas nie wolno igrać.

Reformy społeczne i niepodległość, czyli Polska Niepodległa i Polska Sprawiedliwa — oto najważniejsze sprawy dla każdego Polaka. Jedna z nich warunkuje drugą. Bez niepodległości — nie ma właściwych reform społecznych; bez reform społecznych — nie ma trwałej niepodległości. Trzeba, aby tu, na emigracji wszyscy to sobie jasno uświadomili.

Sprawa niepodległości Rzeczypospolitej nie schodzi obecnie z ust europejskich mężów stanu. Wydawać by się mogło, że nie ma

popularniejszego i powszechniejszego hasła. W obozie Sprzymierzonych zasady tej nikt nie poddaje w wątpliwość, co więcej, każdy gotów jest jej patronować. Nie szczęściem Europy jednak są hasła bez rzeczywistego pokrycia i nigdy chyba nie było większego nadużycia słów świętych cywilizacji europejskiej. Swoista mistyka siły, tak charakterystyczna dla wszystkich epok upadku kultury, zamąciła jasne na pozór umysły. Na tym tylko tle można zrozumieć choćby n.p. ostatnie wystąpienia jednego z publicystów londyńskiego "Times'a".

Nie zajmowałem się dotychczas polemiką, tego jednak, co napisał "Times" w artykule wstępnym z dnia 31.VIII. b.r. niepodobna pominąć milczeniem, zwłaszcza, jeśli się zważy powagę, której używa ten najstarszy dziennik angielski. Oto wśród życzliwych pozornie rozważań o Armii Krajowej — "Times" nazwał audycje warszawskiej radiostacji "Błyskawica", poświęcone Wilnu i Lwowu niezgodnymi z przyjaznym stanowiskiem wobec Rosji", a nieco dalej — wręcz "niewczesną prowokacją".

Osobiście nie zamierzam bronić twierdzenia, że te właśnie audycje "Błyskawicy" są — z punktu widzenia taktyki politycznej — posunięciem najszcześniejszym. Chwila obecna, moim zdaniem, nie sprzyja poruszaniu zagadnień terytorialnych. Jest to zasada, która powinna obowiązywać wszystkich, a więc nie tylko Polskę, ale i Rosję i... prasę brytyjską. Niestety, ani Rosja, ani prasa brytyjska nie zachowują w tej sprawie dyskrecji i "umiaru". Czy zatem obowiązują dwie zasady: jedna dla Polski, druga dla innych? Albo jeszcze jaśniej: jedna dla słabych, druga dla silnych?

Wypowiedź "Times'a" jest tym dziwniejsza, że pismu temu znane są fakty, poruszone już szeroko w prasie brytyjskiej, które wywołały zakwestionowane audycje. Musimy je pokrótce przypomnieć. Oto do Warszawy doszły, ściśle niestety, wiadomości, że Rosjanie, nie czekając na międzynarodowe rozstrzygnięcie, traktują bezcere-

monialnie Ziemię Wschodnie Rzeczypospolitej, jako część sowieckiego terytorium państwowego. Co więcej, na Ziemiach tych dopuszczają się względem ludności polskiej gwałtów, stosując masowe deportacje starym szlakiem na Kaługę, na Kijów... Czy w tych warunkach można się zbytnio dziwić Warszawie, że przerwała ową tragiczną ciszę, otaczającą postępowanie administracji rosyjskiej? Czy to niezręczne może politycznie, lecz ludzkie i godne wystąpienie człowiek uczciwy może nazwać prowokacją? Czy raczej na miano prowokacji, prowokacji uczuć każdego Polaka, nie zasługuje wystąpienie publicysty "Times'a"?

Ten sam "Times" inaczej zgola przemawiał w r. 1940, gdy nad Wielką Brytanią wisiała groza przemocy i klęski, gdy każdy karabin Polaka, jedynego w tej ciężkiej godzinie sprzymierzeńca, wazył więcej, niż złoto, gdy pod obcym, krwawym od łun niebem Londynu wiały skrzydła polskich samolotów, których brak teraz Warszawie. Innymi zapewne słowy przemawiałby publicysta "Times'a", gdyby chodziło nie o Lwów czy Wilno, ale o Oxford lub Cambridge, gdyby potężny sąsiad uważał za swoje nie nasze Ziemię Wschodnie, lecz Północną Irlandię i Szkocję i gdyby tragiczną drogą na Wschód, znaną licznym pokoleniom polskim od stu pięćdziesięciu lat, ciągnęła nie polska, lecz angielska ludność.

Piszę to nie po to, aby na impertynencje odpowiedzieć niedelikatnością, ani by utrzymywać, że w przytoczonych przeze mnie zestawieniach podobieństwo jest całkowite. W takiej jednak chwili, gdy tam za wolność giną tysiące ludzi — niechżeż przynajmniej tu inni "ludzie, istoty nieznane" nie opluwają ich cynicznie śliną płaskich zarzutów. Dla ścisłości dodać trzeba, że po odprawie, udzielonej przez "Daily Telegraph" — "Times" nie po raz pierwszy i... ostatni zmienił swój ton.

"Warszawa walczy o wolność i niepodległość" — stwierdził w przemówieniu radiowym z dnia 1.IX. r.b. przebywający w stolicy Wicepremier Rządu Rzeczypospo-

litej. Walczy przeciwko Niemcom, aczkolwiek, powiedzmy to sobie otwarcie, niepodległość Polski zagrożona jest w tej chwili także i przez Rosję. I ta właśnie sprawa, a nie spór terytorialny jest sednem zagadnienia polsko-rosyjskiego w Europie. Wiadomości, napływające co raz liczniej z Ziemi Rzeczypospolitej, zajętych przez Armię Czerwoną i to nawet położonych na zachód od linii Curzona, a więc przez samą Rosję uważanych za obszary bezsporne polskie — stawiają społeczeństwo polskie wobec całej ostrości pytania, czy pochód wojsk rosyjskich nie oznacza dla Polski po prostu zmiany okupanta niemieckiego na sowieckiego. Symbolem powstającej sytuacji jest niejako "zmiana warty" w osławionym obozie koncentracyjnym w Majdanku pod Lublinem. Tak, jak za okupacji niemieckiej przebywają tam /bądź przebywali do niedawna przed wywiezieniem na Wschód/ najlepsi synowie Rzeczypospolitej.

Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że położenie jest pod każdym względem jednakowe. Wszak z Niemcami walczyliśmy, walczyliśmy i walczyć będziemy do końca, natomiast Armii Czerwonej oddawaliśmy i nadal oddajemy znaczne usługi, dając do porozumienia z Rosją. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że za to porozumienie i za zaniechanie gwałtów gotowi jesteśmy zapłacić niepodległością.

Naród polski nie żywił i nie żywi wrogości względem narodu rosyjskiego. Nawet ci spośród nas, których Rosja uważa za swych wrogów, a którzy są tylko dobrymi Polakami, zatroskanymi o swą Ojczyznę — przyjęliby zawarcie sprawiedliwego porozumienia z ZSRR nie tylko z ulgą, ale i ze szczerą wolą dotrzymania wszelkich jego warunków. Jeśli Rosja w szczerości i trwałości tej postawy widzi swój istotny interes polityczny — gotowi jesteśmy przyznać jej rację. Gotowi jesteśmy nawet przyznać, że po tylu wzajemnych podejrzeniach i zadrażnieniach, nagromadzonych przez wieki — same słowa mogą nie wy-

starzyć.

Z naszej jednak strony były i czyny. Akeja "Burzy" prowadzona przez nas przeciwko Niemcom w operacyjnej współpracy z Armią Czerwoną, gdzie się tylko udało ją nawiązać — jest nie słowem lecz czynem. Lojalne ustosunkowanie się do wkraczających wojsk rosyjskich przez ludność polską jest również czynem. Przyjęcie przez Radę Jedności Narodowej bez godziny zwłoki nadesłanego przez Premiera Mikołajczyka projektu ułożenia stosunków polsko-rosyjskich, projektu, o którym nikt nie może powiedzieć, by nie był jak najbardziej kompromisowy — jest także czynem, dowodzącym naszej dobrej woli.

Ale i my również nie możemy zadowolnić się samymi tylko rosyjskimi słowami o "Polsce niepodległej i silnej". Tak, jak było by rzeczą niewłaściwą ustalać nasz stosunek do Rosji na podstawie samych tylko doświadczeń przeszłości, tak samo było by rzeczą nierozsądną opierać go na intuicji, czy wierze. Rosyjscy mężowie stanu, wielcy realisci, rozumiejają chyba, że olbrzymia potęga ZSRR może mieć dla nas dwojakie oblicze: wielkiego sprzymierzeńca, lub śmiertelnej groźby. Aby przywrócić zaufanie — rosyjskie czyny musiałyby odpowiadać rosyjskim słowom. Niestety, czyny te przeczą słowom. Do znanych faktów dawnych i nowych wystarczy dodać dla ilustracji brak zgody na udzielenie baz rosyjskich samolotom alianckim, niosącym pomoc Warszawie. Czy jest to czyn przyjazny?

Nie na takie czyny czekamy. I nie chciałbym być zmuszonym dodać: na próżno...

Gdybym miał możliwość zwrócenia się wprost do ludu rosyjskiego, przemówiłbym tymi słowami:

Ludu Rosyjski, nie nazywaj nas narodem panów; jesteśmy, tak, jak i Ty narodem mas pracujących. Nie wierz, że staliśmy się "faszystami"; kto tak kocha wolność, jak my, nie może być faszystą. Nie widź w nas swoich wrogów; gdybyś zechciał, mógłbyś w nas mieć prawdziwych przyjaciół. Nie przypuszczaj, że po to walczyliśmy przeciwko Niemcom, wydając nasze miasta i wsie na zniszczenie, a ludność na śmierć i poniewierkę, aby pokrzyżować plany wojskowe Armii Czerwonej; bijąc Twoich i naszych wrogów oddajemy usługi wspólnej sprawie.

Walczyliśmy o to, by chłop nasz mógł spokojnie gospodarować na własnym zagonie. Walczyliśmy o to, by robotnik nasz był wolnym, dobrze zarabiającym pracownikiem. Walczyliśmy o to, by pozostać narodem polskim i państwem polskim. Czyż to godzi w Twoje prawa?

Czy w chwili, która na całe wieki mogłaby zmienić bieg stosunków polsko-rosyjskich, chcesz kroczyć dalej szlakiem Mikołaja I Pałkina, szlakiem Murawiewa-Wieszatela?

Pamiętaj: walczyliśmy o wolność i niepodległość: walki tej nie zaprzestaniemy, póki życia. Pamiętaj: nie ma dwu wolności na świecie, sprawa wolności jest jedna i niepodzielna. Pamiętaj: dla tej to sprawy Warszawa, którą kochamy nęmniej, niż ty swą Moskwę, przemieniła się w krwawe rumowisko; dla tej to sprawy oddaje życie warszawski inteligent i warszawski proletariusz.

Defilada oddziału Armii Krajowej



## PIĘĆ TYGODNI

Po pięciu tygodniach Warszawa walczy dalej w własnych grzechach i zgliszczach. Walczy z bohaterstwem nie spotykanym w historii. Według "Deutsches Nachrichten Bureau" bombowce, działa szturmowe, pociągi pancerne, artyleria i moździerze drugą polską punkty oporu, a grenadierzy wypalają je miotaczami płomieni. Stare Miasto uległo zupełnemu zniszczeniu. Ale w innych częściach miasta walka trwa.

Jedyna pomoc, jaką ostatni tydzień przyniósł, była czysto moralna. Było to oświadczenie Rządu W. Brytanii i U.S.A. uznające prawa kombatanckie Armii Krajowej. Adresowane do Niemców, stwierdza ono jednak zasadę, która tym bardziej musi być szanowana przez sojusznika obu mocarstw, skoro uszanowania jej żąda się od wroga. Spełniony został przez wydanie tej deklaracji ważny postulat Polski walczącej.

Natomiast pomoc materialna, co raz bardziej nieodzowna, dotąd nie nadeszła. I to nie z braku dobrej woli Brytyjczyków i Amerykanów. Istotny powód wyjawia prasa brytyjska i mówi o tym również nasz premier na konferencji prasowej. Brak zgody sowieckiej na lądowanie samolotów mających wykonać operację na Warszawie po tamtej stronie frontu uniemożliwia pomoc w większym stylu, jedynie skuteczną.

Wrażenie, jakie wiadomość ta wywarła na opinie brytyjską, było niezwykle silne. Nie rozumieli dotąd, dlaczego pomoc musi być dawana z ogromnym ryzykiem z dalekich baz brytyjskich czy włoskich, nie zaś z bliskich sowieckich. Teraz zapomniało zdumienie. "Rosja — pisze "Spectator" — nie powinna lekceważyć głębi uczuć, jakie te wydarzenia tutaj wzbudzają".

Naród brytyjski chce, by ratowano Warszawę, woli swojej dać co raz głośniejszy wyraz. Przemówili dostojnicy kościoła katolickiego, późniejsi anglikanicy i prezbiteriańscy. Przemówili Związki Robotnicze. Prasa pisze co raz otwarciej i mocniej. Zacytujemy "Observera": "Nie ma kwestii, że trochę, tylko trochę samolotów rosyjskich nad drugą stronę Warszawy mogłoby dokonać nieporównanie więcej dla przyjaźni polsko-sowieckiej, aniżeli cały szereg sowieckich oświadczeń o silnej i niepodległej Polsce". Wspominając zaś znane oskarżenia i pogroźki w stosunku do tych, któ-

rzy walce w Warszawie prowadzą, oraz areszty i deportacje, "Observer" wyraża obawę, że Rosja, żądając "przyjaznej" Polski, doprowadzi może do zwiększonej wrogości i dalszych tragicznych powikłań. Premier polski apelował znowu mocno i publicznie do tych potężnych ludzi, od których pomoc dla Warszawy zależy: Stalina, Churchilla, Roosevelta. Oby wezwanie to było spełnione, zanim nie będzie za późno.

## SKRZYDLATE ZWYCIEŚTWO

Tragedia Warszawy przesłania nam, Polakom, wydarzenia na Zachodzie Europy, mające doniosłość światową i jedyne w dziejach. Zwycięstwo nie postępuje tam, ale leci na skrzydłach, nie tylko samolotów: wydaje się, że "Shermanom" i "Cromwellom" skrzydła wyrosły. Jest ono jakby wspaniałą Nike Samotracką z Luwru /ocalona zapewne/. Tylko tamtej brakuje głowy, a tu jest głowa. Nie tyle jakich trzeba głów, by ta powódź czołgów i samochodów szła nieprzerwanie naprzód, obalając lub wymijając i wyprzedzając wszelkie opory, w jednym tygodniu pochłaniając przestrzeń od Sekwany aż po granice Rzeszy, Holandii, w głąb Belgii.

Na prawym skrzydle działa amerykańska grupa armii Bradleya. Armia 3. Pattona już zajęła Verdun, bije się pod Thionville i Longwy na dawnej linii Maginota, z kierunkiem na Metz i Trewir. Armia 1-sza amerykańska gen. Hodgea od Sedanu wtargnęła przez Ardenny na tyły Niemców, jeszcze wtedy trzymających Belgię, posuwa się na Akwizgran /Aachen/ zdobywając Liège i Namur. Przekroczyła już granicę Holandii.

Lewym skrzydłem posunęła się przez Maubeuge i Valenciennes w głąb Belgii na Mons i Charleroi. Z grupy armii Montgomery'ego 2-ga armia brytyjska Dempsey'a przedarła się błyskawicznie bronią pancerną przez Amiens i Arras na Lens, Lille, Armentières, Tournai, oswobodziła Brukselę, Antwerpię, Gandawę. Armia kanadyjska gen. Crerara działa bliżej morza na bezpośrednie tyły Niemców, trzymających się jeszcze nad Kanalem i cieśniną Pas de Calais. W pobliżu Dunkierki Niemcy są dziś przywarci do morza i bez szans ewakuacji. Pod Abbeville silniejszy opór zlikwidowała pol-

ska dywizja pancerna.

Jest to "Blitz" bijący rekordy niemieckie z 1940 roku o sto procent; amerykańskie i brytyjskie dywizje pancerne przelatują ponad 60 km na dobę. Nie likwidują oczywiście całości sił przeciwnika. Idzie o to, by go wyprzeć nad Renem. Likwidacja Niemców wyminiętych i odciętych jest rzeczą Francuskiej Armii Krajowej /F.F.I./, a gdzie ta nie podoła, nadsięgającej zmotoryzowanej czy przewozonej piechoty.

Dużo Niemców zostało daleko w tyle, nawet spore grupy, niekiedy walczące do upadłego. Los ich jest przesadzony, podobnie jak garnizonów Havre, Brest i Lorient, dotąd jeszcze stawiających opór. Od południa 7 armia amerykańska gen. Patch zdobyła Lyon, przełamując silny opór Niemców, bijących się do upadłego, by ostonić ewakuację resztek ich wojsk z południowej i południowo-zachodniej Francji na Dijon i Belfort za Ren.

Na komunikację tych sił niemieckich na "lukę Belfortką" spadły z powietrza sprzymierzone siły spadochronowe.

Co się stało z główną siłą niemiecką? 7-mą armią i 5-tą pancerną bijącymi się w Normandii i z doborowymi dywizjami armii 1-szej i 15-tej, ściągniętymi tam do bitwy? Symbolicznym niejako jest los trzech kolejnych dowódców 7-ej armii: pierwszy zabity w walce o przyczółek normandzki, drugi ranny przy przedzieraniu się z kotła Falaise, może od polskiej broni, trzeci złapany pod Amiens przez brytyjskich czołgistów przy rannym śniadaniu, absolutnie nieswiadomy położenia przeciwnika ani położenia sił własnych. Tak było i z samą armią: gros legło w bitwie normandzkiej, część przedarła się dziesiątkowana z dwukrotnego osaczenia już niezdolna do nowej bitwy; co zdołało się ocalić, uchodzi na oślep, bez jednolitego kierownictwa, odcięte zaś umiera w beznadziejnej walce lub częściej i co raz częściej idzie w niewolę.

Od początku inwazji front zachodni "Festung Europa" trzy razy zmienił naczelnego wodzów. Pierwszy, Rundstedt, wyrzucony. Drugi, Rommel, pono umarł z ran. Trzeci, von Kluge, wyrzucony i podobno nie żyje. Tragiczna Nike niemiecka ma głowę odtraconą.

## "LINIA GOTÓW" PRZELAMANA

W ciągu miesiąca operacje we Włoszech miały charakter walk lokalnych; armie sprzymierzone wywalczyły sobie podstawy do natarcia na t.zw. "linię Gotów", od Pizy do Pesaro, ostatnią naturalną linię obrony przed rozległą niziną Padu. Apeniny, głównym grzbietem ciągnące się tu w poprzek półwyspu, dawały warunki do uporczywej obrony. Słaby był jej odcinek na skrajnym lewym, wschodnim skrzydle: szeroki, dość dostępnymi korytarz między Adriatykiem a górami.

Tutaj Polacy i Włosi sforsowali rzekę Metauro, a w dalszym natarciu czołgi polskie wdarły się do Pesaro, bastionu wschodniego "linii Gotów". Raptownie przyszło ogólne uderzenie na tę linię. Sławna 8-ma armia brytyjska w zupełnej tajemnicy przegrupowana do natarcia na odcinku, gdzie dotąd byli tylko Polacy i Włosi, zaskoczyła Niemców nawałą ognia i przełamującym natarciem, wdzierając się na szerokim, przeszło 30-kilometrowym froncie na głębokość do 10 kilometrów w ich pozycje. Nasi z Korpusu II po ciężkiej walce o Pesaro wzięli udział w przełamaniu linii niemieckich i prą naprzód wraz ze sprzymierzonymi.

Bitwa jeszcze nieskończona. Wydaje się jednak, że rozstrzygnie ona o losach Włoch północnych i armii niemieckich we Włoszech. Na komunikacjach tych armii mogą się niebawem pojawić zarówno czołgi Patcha z południowej Francji, dzisiaj już niepokojące Riwierę genueńską, jak czołgi sowieckie z nad dolnego Dunaju. Niemcy nie mają zbyt wiele czasu do odskoku na pozycje broniące bezpośrednio wrót południowych Trzeciej Rzeszy. Zachodzi pytanie, czy gen. Alexander na odskok im pozwoli.

## WYDARZENIA NA WSCHODZIE

Niemcy zemścili się na Rumunach za ich odstępstwo srogim zbombardowaniem Bukaresztu, co nie ocaliło ich 6-tej i 8-mej armii, zlikwidowanych już prawie doszczętnie. Rumunia niemal w całości jest już w ręku sowieckim. Wspaniałomyślnie — jak ogłoszono — warunki rozejmu okazały się ciężkie. Poza utratą Besarabii i północnej Bukowiny przewidziane są wielkie odszkodowania i co cięższe jeszcze, użycie armii rumuńskiej do odbudowy zniszczonych

obszarów Rosji, zatem jej wieloletnia niewola. Jest to może przedsmakiem tego, co oczekuje Niemcy.

Bulgaria rokuje o zawieszenie broni ze Sprzymierzonymi. Jej propozycji ścisłej neutralności nie przyjęto. Musi oddać swe siły, zasoby i bazy do rozporządzenia Aliantów i naprawić krzywdy, wyrządzone Grecji i Jugosławii. W Sofii dokonywa się zmiana rządu na wyraźnie prosowiecki. Okaże się, czy to ułatwi sytuację.

Finlandia rokuje o pokój z Rosją. Już zawarto zawieszenie broni na honorowych, zdaje się warunkach. O soba fińskiego naczelnego wodza, marsz. Mannerheima, nie była przeszkodą, choć nie tak dawno jego działa ostrzeliwały Leningrad.

Na froncie wschodnim poza Rumunią nie było zmian. Niemcy chwalią się jego stabilizacją. Dni najbliższe okażą, czy na długo.

Do zanotowania mamy zwiększenie nasilenia walk w przedpolu Warszawy. Po historycznym Ossowie pamiętny Radzymin znowu zmieniał posiadaczy; został w rękach sowieckich. Zacięta bitwa toczy się pod Wyszkowem.

## POLSKA PODZIEMNA WE FRANCJI

Z oswojeniem Francji wychodzi z podziemi na światło dnia ta część Polski walczącej, którą stanowi zorganizowane wychodźstwo polskie we Francji. Pod okupacją niemiecką przetrwało ono niezłomnie wierne ojczyźnie, działało, walczyło, ponosiło ciężkie ofiary.

Jest jeszcze dawniejsze wymianiaczki, które tam we Francji konspiracja polska oddała wspólnej sprawie sprzymierzonych. Były poważne i okupione ofiarami. W wielu miejscach Polacy walczyli ramię w ramię z francuską Armią Krajową. W Paryżu, obszarze Lille i w Sabaudii oddziały nasze były w akcji. Rola ich przewidywana od dawna została zredukowana przez błyskawiczny postęp sprzymierzonych, główne zadanie przekreślone przez wypadek. Ale nasi górniczy i robotniczy dowiedli, że umięją z najwyższym poświęceniem służyć Ojczyźnie.

Już tysiące ochotników staje w różnych stronach Francji do bratnich szeregów. Otwiera się druga karta dziejów polskiego wysiłku wojennego na ziemi francuskiej, rozjaśniona zwycięstwem.

Zamknięte 5 września.

TRIARIUS

Mimo olbrzymich zmian, jakie zarysowały się w ciągu ostatnich tygodni na wszystkich frontach, Luftwaffe nie wykazuje w dalszym ciągu żadnej ruchliwości. Gdybyśmy wzięli do ręki tabele rzeczywistych stanów liczebnych lotnictwa niemieckiego, to cyfry byłyby stosunkowo duże. Co więcej — zauważylibyśmy pewne polepszenie w sprzęcie, materiale i ilości załóg, szczególnie w niemieckim lotnictwie nocnym. Jednak to bynajmniej nie zmienia położenia Luftwaffe.

Luftwaffe przestała odgrywać rolę jako czynnik rozstrzygający na polu bitwy na ziemi, przestała grać rolę jako czynnik poważny w powietrzu. Bowiemy nie wysokość stanów decyduje o wadze lotnictwa w zespoleniu innych elementów sił zbrojnych, lecz możliwości wykonania zadań, jakie mu przypadają. Gdyby jakiś lotniczy anioł podwoił Hitlerowi stany samolotów i załóg, nie wiele by się to przyczyniło do podwojenia wydajności pracy jego lotnictwa. I tak nie wystarczyło by to na obsłużenie pięciu olbrzymich frontów.

Jeżeli kiedy, to teraz można zacytować powiedzenie Chamberlaina, że Hitler spóźnił się na autobus. Rozbudowa niemieckiego lotnictwa nocnego przysłała z chwilą, kiedy nocne ataki na Rzeszę nie grają już tak poważnej roli, jaką odgrywały jeszcze parę miesięcy temu. Nowe typy samolotów myśliwskich o rekordowych własnościach bojowych weszły wprawdzie do akcji /mamy na myśli "Me. 163" i "Me. 262"/, lecz w ograniczonej liczbie. Przypuszczać należy, że jeszcze potrwa parę dobrych miesięcy, zanim Luftwaffe będzie miała dostateczną ilość, by zastąpić nimi myśliwskie lotnictwo dzienne. Wreszcie produkcja ciężkich bombowców, które miały bombardować Londyn i Wielką Brytanię /"He. 177", czteromotorowych olbrzymów/, nim ruszyła — już jest nieaktualna.

Rozpatrując sytuację Luftwaffe, musimy podkreślić, że z chwilą gdy pierścien wojsk alianckich zacieśni się dokoła Niemiec, wydajność jej może być większa. Fronty się skrócą, nasycenie lotnictwem będzie większe, mimo utraty poważnej pomocy lotnictwa satelitowych: rumuńskiego, bułgarskiego i — co wydaje się nieuniknione — węgierskiego.

Jednak inne jeszcze chmury wiszą nad nieszczęsną Luftwaffe. Ostra ofensywa lotnictwa sprzymierzonych, prowadzona od czterech miesięcy, a skierowana przeciw przemysłowi przetwórcemu paliwa jak i zapasom paliwa dała nadspodziewane rezultaty. Już w początkach sierpnia r.b. bombardowanie to spowodowało zmniejszenie się produkcji do 52% w porównaniu z okresem sprzed tej ofensywy. Oznacza to dla Niemców brak kilkuset tysięcy ton paliwa miesięcznie, gdy poprzednio mieli oni

możność oszczędzania około 100.000 ton miesięcznie.

Spadek ten postępuje dalej: odpadają źródła ropy /Rumunia/, odpadają liczne rafinerie i wytwórnie benzyny syntetycznej, rozlokowane w różnych krajach okupowanych lub satelitowych.

Toteż nie wydaje się rzeczą pewną, czy Luftwaffe byłaby w stanie zapatrzeć w benzynę swoje stany nawet na zmniejszonym terenie walk. Brak paliwa dał się odczuć nie tylko na froncie i nie tylko w spożyciu wewnętrznym. Dał się odczuć w tempie wyszkolenia załóg, szczególnie bombowych. Jest to jedna z przyczyn ogólnego kryzysu Luftwaffe. Wszy-

stkie doświadczone załogi, a raczej resztki tych załóg, które pozostały jeszcze po walkach rosyjskich i "bitwie o Niemcy", wielce zostały do lotnictwa myśliwskiego nocnego. Lotnictwo myśliwskie dzienne, bombowe, rozpoznawcze — pozostały bez doświadczonych pilotów.

Wyszkolenie załóg wymaga długiego czasu i tego na prędce zrobić się nie da. Można od biedy wyszkołać na t.zw. "Schnellsiedekurs" /na maszynce spirytusowej/ oficera sztabu, lecz nie można wyszkolić pilota, tym bardziej obserwatora. Powiększając liczebnie jednostki i wypielniając je niedoszkolonymi załogami otrzymujemy w wyniku zmniejszoną wydaj-

ność. Lotnictwo jest bronią, w której nie da się zablagać, jest to zresztą wspólna cecha wszystkich broni technicznych, w których nawet największy zapal i brawura jednostki czy zespołu nie zastąpią doświadczenia i wiedzy.

Wspomnieliśmy, że nadzieje Niemców w dalszym ciągu wiąże się z działalnością nowych broni technicznych, jakimi są V.1 i V.2. Ogół niemiecki przypuszczał, że V.1 to nareszcie coś, co rzuci Brytyjczyków na kolana, wprowadzi zamęt w życie Wyp Brytyjskich, załamie ducha żołnierza walczącego w Normandii

wobec świadomości, że gdy on walczy, cały świat brytyjski tonie w chaosie, zniszczeniu i dezorganizacji. Coprawda Niemcy wierzą w to jeszcze do tej chwili, może nie tak entuzjastycznie jak przedtem — lecz wierzą.

Wierzą dalej, że przyjdzie jeszcze coś straszniejszego, o nieznanej mocy i sile — V.2 — kara boża na Wielką Brytanię z ręki geniusza wynalazczości niemieckiej. Niewątpliwie nie należy nie doceniać tej broni, która według wszelkiego prawdopodobieństwa, o ile zostanie użyta w pełni, może okazać się bardzo groźna w skutkach, szczególnie dla Anglii. Prasa brytyjska na podstawie źródeł rosyjskich pozwala się domyślać, że będą to pociski raketowe, wyrzucające w wielkiej odległości, o niezwykłej sile wybuchowej i niszczącej. Źródła neutralne, a więc prasa szwajcarska i szwedzka wspomina coś o pociskach, które będą działały chemicznie, wyciągając tlen z otaczającej atmosfery. Wszystko to jest możliwe.

Lecz w tej chwili nie leży w granicach możliwości przyłapanie wszystkich armii sprzymierzonych na wąskim odcinku Wyp Brytyjskich. Taką sposobność była, lecz już minęła. Sytuacja jest odmienna. Dziś, pocisk niemiecki co najwyżej może urządzić rzecz cywilnych, szczególnie kobiet i dzieci w Londynie i innych miastach na wyspie. Może uniemożliwić przedstawienia teatralne i kinowe na terenie południowej Anglii, lecz nie zatrzyma pochodzących olbrzymich armii, posuwających się w głąb kontynentu z rozmaitych stron, w kierunku Niemiec.

Wiele osób interesuje się /rozumieć to doskonale/ tym, czy w chwili gdy zostanie zajęte Pas de Calais, ataki bomb latających /V.1/ na Londyn ustaną, tak, by Niemcy nie mogli już ogłaszać w swych komunikatach, że "Londyn w dalszym ciągu jest poddany ciężkiemu odwetowemu ogniewi V.1". Niestety musimy wyrazić pogląd, że zajęcie Pas de Calais prawdopodobnie nie wpłynie na bombardowanie Londynu. Może je tylko zmniejszyć. Według zdania znawców tej broni, dopiero zajęcie całego wybrzeża belgijskiego i holenderskiego — i to z sięgnięciem w głąb łądu do jakichś 50 mil — może zapobiec całkowicie obecnym możliwościom niemieckim. I to kto wie? Niemcy mają w tej chwili sposoby, które uniezależniają V.1 od wyrzutni, w każdym razie od wyrzutni stałych.

Jeżeli zaś chodzi o V.2 to sądząc z niemieckich konkretnych wypowiedzi, nie będą potrzebowali do bombardowania Wielkiej Brytanii bliskich wyborów. Wystarczy im trochę terytorium niemieckiego. Szukajmy się tedy na niespodzianki.

M. J. GORDON

## Nowości lotnicze

## Z tygodnia na tydzień

28 sierpnia: Na Starym Mieście w Warszawie nadal ciężkie walki. W innych rejonach inicjatywa w rękach Armii Krajowej.

— Oddziały II. Korpusu zajęły Monte delle Forche i m. Fano nad Morzem Adriatyckim.

— Wojska sowieckie zajęły w Rumunii następujące miejscowości: Braiła, Tulcea, Sulina i Bretcu w Transylwanii oraz w Polsce Ostrów Mazowiecki.

— Sprzymierzeni dotarli do Château Thierry i Sézanne.

— Ogłoszono, że Naczelny Wódz gen. Sosnkowski w czerwcu br. nadał order "Wirtuti Militari" dowódcy Armii Krajowej gen. Borowi, wicepremierowi w Kraju oraz różnym żołnierzom Armii Krajowej.

29 sierpnia: Rządy brytyjski i Stanów Zjedn. wydały oświadczenie, w którym stwierdzają, że Armia Krajowa jest składową częścią Polskich Sił Zbrojnych.

— Walki w rej. Starego Miasta. o niesłabnącem nasileniu. A.K. utraciła gmach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, katedrę św. Jana i Plac Zamkowy, opanowała parę ulic na Dolnym Mokotowie.

— Sprzymierzeni zajęli Soissons, Vitry, Chalons nad Marną.

— Wojska sowieckie zajęły Konstancę.

30 sierpnia: W nocy z 29/30 lotnictwo brytyjskie bombardowało niemieckie Szczecin i Królewiec oraz Berlin i Hamburg.

— Na Starym Mieście niesłabnące walki. A.K. utraciła szereg ulic w śródmieściu. Ataki niemieckie na Mokotów zostały odparte, A.K. opanowała odcinek ulicy Towarowej. Niemcy odpalili Marymont.

— Na ptn. wsch. od Pragi wojska sowieckie w dalszym ciągu odpirają ataki niemieckie. Czerwona

Armia zajęła Ploesti.

— Sprzymierzeni zajęli Reims i Beauvais.

— Rząd R.P. ogłosił deklarację stwierdzającą, że Armia Krajowa stanowi część regularnych Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej.

31 sierpnia: Wojska polskie — jako oddziały wysunięte 8 Armii w natarciu na "Linię Gotów" — zajęły Pesaro we Włoszech.

— Działania patroli A.K. na Żoliborzu. Oddziały A.K. odbiły kościół Panny Marii.

— Wojska sowieckie zajęły Radzymiń pod Warszawą. Czerwona Armia zajęła Bukareszt.

— Sprzymierzeni zajęli Amiens, Rouen i Sedan, a na pld. Nicee i Valence. Przekroczono rzeki Somme i Moze.

— Odbiła się konferencja prasowa premiera St. Mikołajczyka, na której poruszone zostały aktualne sprawy polskie.

— Gen. Montgomery został naczelnym dowódcą wojsk brytyjskich i kanadyjskich na froncie zachodnim, a gen. Bradley — wojsk amerykańskich. Montgomery mianowany został marszałkiem polnym.

1 września: Nieznaczące straty terenu na Starym Mieście w Warszawie. Walki o kościół św. Anny i ratusz. A.K. naciera na plac Żelaznej Bramy.

— Oddziały polskie i kanadyjskie nacierają na Abbeville. Sprzymierzeni zajęli Dieppe, Arras i Verdun.

— Oddziały polskie i brytyjskie odpirają kontrataki niemieckie na Pesaro.

— Z okazji piątej rocznicy wybuchu wojny zwrócili się do Narodu Polskiego mówiąc —

Prezydent R.P.: "Chcemy pokoju opartego na sile prawa a nie na prawie siły..."

# Pod znakiem Polski Walczącej



Plakat wielkanoeny

Ta kombinacja liter "P" i "W" w kształcie kotwicy, którą widział się na płotach, murach, chodnikach miast polskich to znak Polski Walczącej. Polski, która nie skapitulowała i nie skapituje przed nikim.

Patrz — patrol żandarmerii niemieckiej zatrzymuje się ze wściekłością przed murem, poszczerbionym kule przez jedną z egzekucyj publicznych, na którym teraz widnieje wielki znak Polski Walczącej. Nie warto go właściwie ścierać. Daremny trud. Niebawem przecież na tym samym miejscu ukaże się na nowo.

Historia tego znaku jest następująca. W mieście nad wielką rzeką, mieście popielisk i niewygasłej walki, w mieście, którego mimo brzydoty gruzów nie podobna teraz nie kochać — w Warszawie — żyła w początkach okupacji niemieckiej pewna smukła dziewczyna, mająca wyjątkowo piękne ręce. Ręce młodej malarki. Któżby pomyślał, że i ręce łączniczki, kolporterki tajnej prasy.

Te właśnie ręce przeszło cztery lata temu nakreśliły pierwszy znak Polski Walczącej.

Smukła dziewczyna nie była zarozumiała, a jednak cichy uśmiech nieraz świecił na jej ustach na widok tysięcy podobizn wymyślonego przez nią znaku, malowanego wszędzie, gdzie się tylko dało.

Lecz uśmiech ten nie długo na nich gościł.

Któregoś popołudnia głucho walenie w drzwi wejściowe nie pozwoliło ludzi się nikomu z obecnych na konspiracyjnym zebraniu: nadchodziło Gestapo. Chwila konsternacji, potem moment opa-

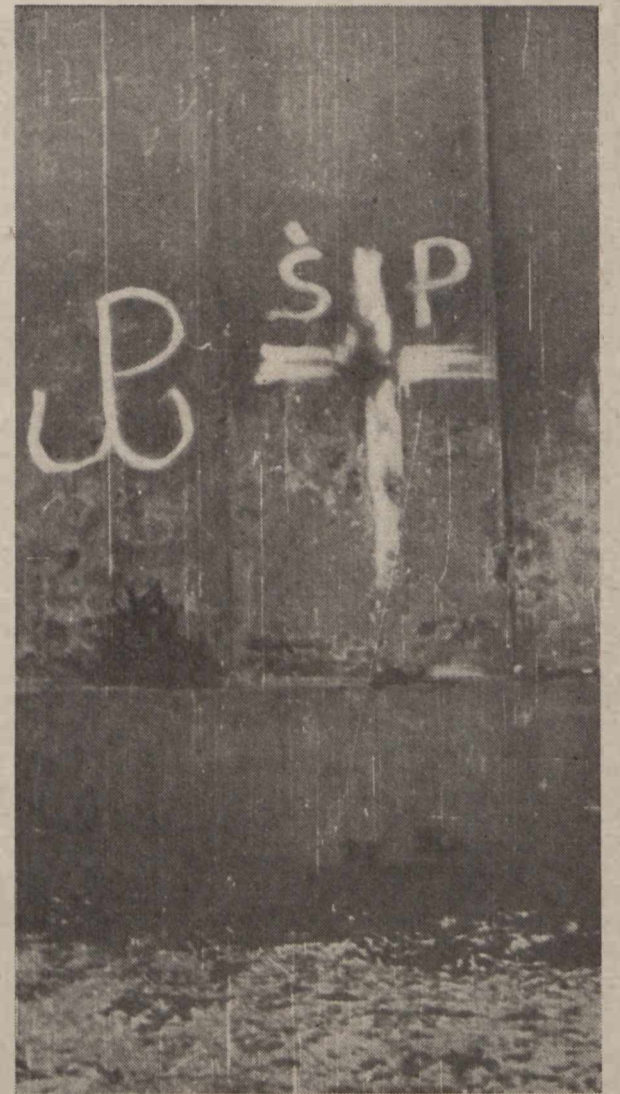
nowywania rozdygotanych nerwów i oto smukła dziewczyna otwiera ściepaczom drzwi. Odpychają ją brutalnie i idą w głąb mieszkania. Takiej okazji nie można ominąć. W mgnieniu oka smukła dziewczyna jest już na schodach, wnosząc tajne notatki. Tylko trzy piętra w dół — i będzie bezpieczna!

Czy słyszysz klekot drewnianych podeszew po schodach? Jest za głośny, zwraca uwagę. Któryś ze zbirów pochyla się szybko przez poręcz. Dojrzał uciekającą. Smukła dziewczyna, na próżno od szybkiego biegu serce tomcze ci w piersi: nie ujdiesz pogoni! Smukła dziewczyna, jakżesz łatwo jest znaleźć tajne notatki, ukryte w pośpiechu!

A dalsze dzieje? Prawie — banalne. Chamstwo badań, podczas których nie szczędzono żadnego poniżenia, dumne uparte milczenie, kilka miesięcy koszmaru w Oświęcimiu — i oto ręce, które nakreśliły pierwszy Znak Polski Walczącej opadły bezwładnie na zawsze . . .

Żołnierzu Polski! Gdy po tułacze przez ląd i morza znajdziesz się nareszcie w wolnym Kraju — spójrz w oczy kobiety polskiej. W oczach twojej żony, siostry, czy matki znajdziesz coś więcej, niż radość powitania. Znajdziesz udrękę oczekiwań, mękę codziennej walki o byt, spotkasz oczy nieulekłej towarzyski żołnierzy Polskiej Podziemnej. Spójrz w nie głębiej. Toć przecież patrzą na ciebie nieśmiertelne oczy Emilii Plater!

ANDRZEJ POMIAN



Miejsce egzekucji na ulicy Solec

## Walka — aż po śmierć Braterstwo Na polsko-polskiej granicy

Auto mknęło ulicą Zygmuntofską ku Wiśle. Dwu ludzi przy kierownicy: szofer Sokół i kapral Juno — żołnierze Polski Walczącej. Gnała ich radość i troska. Jeszcze mieli w uszach zgiełk walki w dalekiej Alei Ujazdowskiej. Dopiero godzinę temu padł tam zastrzelony w odwiecie osławiony Kutschera\*, dopiero godzinę temu wyrwali się z krzyżowego ognia Niemców. Jeszcze mieli w oczach spowite w dym twarze dzielnych kolegów, lśnienie broni i krew.

Broń i krew. Mieszały się teraz na dnie wozu, za ich plecami. Dopiero co dwu ciężko rannych kolegów i jednego źle draśniętego — zostawili pod opieką lekarską. Wieźli ich przez całe miasto, autem potrąszanym przez kule, ściganym przez policję i żandarmerię, tropieni przez lotne patrole, telefony i sygnały. A przecież dowieźli.

Teraz — wracali tym samym samochodem, znanym już wszystkim posterunkom. Ratowali broń tak, jak dotąd ratowali rannych.

Niestety — ich cel był za Wisłą. Znów za miastem. Liczyli tylko na swoje szczęście. Chcieli uprzędić pościg nim dopadnie mostu, zmyleć ślad, zdać broń gdzie należało. Sądziłi, że zdążą się przemknąć, że od strony Pragi — nikt ich nie będzie się spodziewał.

To była omyłka. Kratowana perspektywa mostu nadleciała ku nim z szaloną szybkością. Szarzyzna Wisły zamigotała w żelaznych cieniach i błyskach. Potem uczyniło się przestronniej. Byli w polowie mostu, na "niemieckich" przestłach. I wtedy — od strony Warszawy doleciał donośny sygnał. Pogotowie policji niemieckiej.

Auto zahamowało gwałtownie. Ujrzeni przed sobą w oddali łańcuch zielonych mundurów zamykający szybko wjazd na most.

Pozostawało porzucić postrzelane, schlastane krwią auto i próbować przedrzeć się na Pragę z powrotem. Ale broń była już wystrzelana i . . . — broń tę trzeba było ratować.

Szofer Sokół wykonał desperacki

obrót kierownicą. Auto skręciło gwałtownie. Lecz zabrakło pół metra przestrzeni. Maska motoru uderzyła silnie o żelazną belkę, zdarty błotnik zahaczył o nią — wóz stanął jak wryty.

Obaj żołnierze wyskoczyli, sięgając po broń. Może chcieli ją rzucić do Wisły, byle w ręce wroga nie wpadła. Ale już nadbiegali Niemcy patrolujący most.

—Do wody! — krzyknął Juno. Rzucił się w lewo do bariery. Nie zdążył jej przesadzić, gdy dobiegło go trzech SS-Manów. Skoczył na nich z gołymi pięściami. Dwu zwałi ciosami nóg, trzeciego — siłacz — strząsnął ze siebie i cisnął o deski. Przez ten czas szofer Sokół zrzucił kurtkę, przedostał się przez przeciwną barierę i śmignął w przestrzeżen. Znikł w falach.

Juno skoczył niemal równocześnie. Wychynął z lodowatego nurtu daleko. Pływak wyśmienity, mimo ciężkiego ubrania i butów szedł nurkiem, wynurzał się na chwilę i znów znikał. Wokół siekły wodę kule bijące z mostu. Gonił krzyk Niemców i zaciekle trzask wystrzałów.

Sokół szybko zginął pod falami. Dosięgnął go któryś strzał i pościągął w otchłisko, pogrzebał. Juno walczył ciągle, płynąc niezmordowanie z gwałtownym prądem. Na moście, z bariery grzmiały dziesiątki karabinów. W ten trzask nieustanny wdarł się pośpieszny terkot motoru. To komisarz wodny siał w pościg motorówkę.

Setki i tysiące oczu patrzyły z obu brzegów Wisły na tę walkę śmiertelną i beznadziejną. Pływak nie poddawał się. Do ostatka. Motorówka policyjna zbliżała się z piorunującą szybkością.

Buchnęły bliskie wystrzały karabinowe. Raz jeszcze nad spienioną falę wzniosła się harda, dzielna głowa i — przepadła w nurcie.

Tak, walcząc, aż po śmierć — choć bezbronni — zginęli szofer Sokół i dobry żołnierz Juno. W przepaścistych, lodowatych wodach Wisły. Wiernej rzeki Walczącego Miasta.

Dzień przelatywał im jak gorączkowy majak. Warszawa niosła echo wieści, od których ścisnęło się serce radością i niepokojem.

Padł generał Kutschera, padł Lübbert, zginął tajemniczo Eitner. Trzy zamachy jednego dnia. Policja szaleje w pościgach.

Ranni koledzy już są pod opieką. Jaktó? Więc było ich aż czterech? Walczyli przeciw wszystkim do ostatka, wsiadali do aut o własnych siłach!

I nagle — piorunująca wiadomość: zginęli ci dwaj, co ratowali rannych. Pochonęła, poniosła ich zwłoki zimna topiel Wisły . . .

A potem — to najgorsze: Niemcy odnaleźli rannych. Dwu. Dowódcę Lota i żołnierza Mariana. W lecznicy, gdzie ich — rzekomo jako przygodne ofiary strzelaniny — zawieziono. Gestapo dotarło aż do operacyjnego stołu. Bezprzytomnych oddano pod straż, przy łóżkach ustawiono policję. Więc wszystko na nic? Na darmo zginęli Juno i Sokół . . .

—Odbijemy! . . . Za wszelką cenę . . .

Jak gorączkowy majak trwał ten dzień złowrogi. Wszyscy w ruchu. Plany, projekty improwizowane od ręki, bieganina. Dziś, jeszcze dziś, bezwzględnie. Chociaż jest tylko parę pistoletów. Dziś . . .

Tuż po szóstej wieczorem wchodzili do szpitala na Pradze. Na czele dowódca plutonu.

Portier zmylny i obezwładniony nie zdołał podnieść alarmu. Połączenia telefoniczne przecięto. Obstawiono wyjścia. Grupa z dowódcą pomknęła na piętro. Mundury policjantów widoczne były z daleka w białej sali chorych. Jak drogowaskazy.

Lufy pistoletów zabłysły. Steroryzowani policjanci podnieśli ręce do góry. Rozładowano im broń. A już nadbiegano z noszami.

Wierne, troskliwe ręce dźwignęły z łóżek bezwładne ciała.

—Jesteście? . . . Ranni byli już przytomni. W woskowych twarzach — oczy przepelnione radością, wdzięcznością, uniesieniem, dumą.

Poniesiono do samochodu, pieczołowicie otulonych kocami, powieziono ciemnymi ulicami, złożono w bezpiecznym miejscu.

W ciągu 10 godzin przeżyli walkę, sieć oblawy, mękę, operację, uwięzienie, i znów wolność. I znów byli wśród swoich, między którymi dobrze i żyć i umierać.

A potem — na piersiach ich złożono ordery wojskowe. "Walecznych" i "Virtuti".

JAS.

Północ już była bliska, gdy oddział przekroczył granicę. Daleki, księżycowy widok na omglone łąki, na srebrnym pisane drogi, na uszpiną wieś . . .

Granica. Z obu jej stron polskie ziemie, rozerwane bezprawiem i gwałtem. Las "w dystrykcie warszawskim", podłesna ścieżka już w "Prusach Wschodnich". Bug i Narew w Prusach . . . Taką to granicą. A nad nią łańcuch strażnic "Grenzschutz". Niczym krzyżackie komturie średniowieczne, skąd ruszają lupieżcze wyprawy. Tylko teraz — zamiast białych płaszczów zielone mundury ze znakiem rozplaszczonego orła. Grupy starych, doświadczonych żołnierzy frontowych, przysłanych na "wypoczynek" czują się po strażnicach, łowią ludzi, grabią dobytek, świecą pożarami.

Stąd, z krawędzi lasu widać o kilometr odległą strażnicę Sieczychy. Widna noc. Przed oddziałem — łąka przecięta w poprzek skarpią. Od lasu do wsi — prosta droga wiedzie odkrytym traktem. Strażnica na skraju wsi, opodal murowana szkoła, gdzie przebywa zawyczą część załogi.

Dwa ubezpieczenia po trzech ludzi poszły przodem do wsi, przecięli zawczasu łączność i odwrot. Na skarpie został km. osłony, patrzący w las na spotkanie możliwej odsieczy. Reszta oddziału wartym szykiem podciąga do wsi, osacza barak strażnicy czterema grupami od frontu, dwiema grupami flankując parkan na tyłach budynku. Ostatnia grupa przygotowuje skok na budynek szkolny.

Przed barakiem strażnicy warta. Czujny żołnierz dostrzega na słupie telegraficznym sylwetkę chłopca przecinającego drut. Pada strzał . . . Jak echo brzmi w odpowiedzi krótka seria: wartownik zabity.

Szturm. Cztery grupy jak jedna rzucają się do ataku. Z potężnym hukiem pękają w oknach granaty. Seria za serią, gra broń maszynowa, biją karabiny.

Z nienacka, niespostrzeżenie padł w baraku jeden jedyny strzał obronny. Celny. U progu strażnicy

zwalili się na ziemię zastępca dowódcy oddziału, podporucznik T. Trafiony w serce skonał na rękach sanitariuszów.

A wewnątrz strażnicy — walka. Krótka. Dwu Niemców w mundurach. Jeden — stojący przy oknie z karabinem ginie od kilku kul, drugi, broniący się stołkiem pada pod ciosami kolb. Reszta — w biegnie kryje się pod łóżka lub wyskakuje tylnymi drzwiami pod kule flankujących tyły strażnicy pistoletów, po śmierć. Strzelanina rzędnie szybko, dogasa.

Trupy . . . trupy . . . osiemnaście granatów, ze dwadzieścia luf . . . Czternastu Niemców z dowódcą w stopniu kapitana zabitych. Dwu ciężko rannych.

Oddziałek atakujący szkołę trafił w próżnię. Nikogo tam nie było. Wraca prowadząc zarekwirowane furmanki i trzynaście zdobytych rowerów. Oddział ładuje zdobytą broń i amunicję, składa na wozy poległego oficera i dwu rannych /w zapale szturmie lekko rażeni odłamkami granatów/, zwalnia z zamknięcia dwu więźniów strażnicy, ściąga posterunki — i odwrot.

Wzdłuż granicy strzelają w niebo czerwone bukiety rakiet niemieckich. Alarm. Daleko szło echo szturm.

Potem była przeprawa przez Bug, opanowanie promu ściągniętego wpraw przez wyslaną na rowerach szpicę, potem biwak przy szosie, pod proporczykiem narodowym, wreszcie — odskok od punktu wyjścia.

Tak było w Sieczychach. A w pięciu innych zdobytych strażnicach? W Młodzieszyńcu sześciu Niemców zabitych, jeden ranny. W Lisowie budynek spłonął razem z trupami załogi. W Stoku padło dwu zabitych, jeden ranny. W Grabniku czterech zabitych, jeden ranny — jeńców rozbrojono. W Arciechowie — inaczej: całą załogę wzięto do niewoli i pozostawiono, choć nagich, przy żywej, za to strażnica spłonęła. Odwet i kara.

Po obu stronach polsko-polskiej granicy rosły polskie serca.

TAS.-JAS.

Tabliczka przemianowująca Pl. Teatralny



AL. GEN. SIKORSKIEGO.

\* Por. "Koniec "kata Warszawy" druk. w nr. 31.

Napis na murze przemianowujący Al. Jerolimską

## LOTNISKO

Lotnisko jest, jak tyle innych wojennych lotnisk na wyspie, nowe, bez tradycji East Church czy Croydon, które w przeszłości służyły RAF'owi. Piaszczynę półpocięły szare drogi: szerokie dla samolotów, węższe dla samochodów, wąziutkie dla rowerów. Baraki o półkolistym dachu, hangary, domki pomalowane na kolor żółty, które właśnie zaczyna kwitnąć, przez co wtopiono owe siedziby ludzi i maszyn w zieloną jednostajność równiny. Lotnisko jest niemal niezauważalne dla widza z ziemi. W istocie jest ogromne i kryje drapieżce: dywizjon bombowy "Lancasterów".

## TROCZĘ HISTORII

Jest to najstarszy polski dywizjon bombowy sformowany w W. Brytanii 1 lipca 1940 r. Odznaka jego w kształcie tarczy herbowej jest symbolem przyjaźni: na lotniczej szachownicy piastowski orzeł i brytyjski lew. Dywizjon nosi nazwę dywizjonu Ziemi Mazowieckiej.

16 lipca 1941 r. odbyło się w S... święto wstąpienia lotnictwu sztandaru przysłanego z Kraju. Sztandar wyhaftowały Wilnianki na prośbę lotnika Wilnianina "Katoka" skierowaną do rodzinnego miasta jeszcze z Lyonu. Po złoto i srebro pojedynała jedna z nich aż do... Berlina. Haftowały go potajemnie, poczem ksiądz poświęcił go w nocy w Ostrej Bramie i przekazał tym, którzy zajęli się żmudnym i niebezpiecznym przewiezieniem go do Anglii. Ów to sztandar, na który złożyła składki całe Wilno, wręczył przedstawiciel ziemi wileńskiej, generał Żeligowski Naczelnemu Wodzowi, a ten z kolei ofiarował go lotnictwu na ręce dowódcy Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej. Pierwszy poczet sztandaruowy składał się z dwu żołnierzy i podporucznika zwanego przez kolegów "Mopsem" dla jego okrągłej twarzy. W parę dni po uroczystości trzeba było zastąpić "Mopsa" kimś innym. Rzecz zwykła: nie wrócił z nad Niemiec.

W ciągu czterech lat istnienia dywizjon parokrotnie zmieniał sprzęt. Po powolnych "Battle'ach" przyszły "Wellingtony", aże, wielkie maszyny, do których każda załoga czuła tkliwe przywiązanie za mocny kadłub, łatwość wodowania, prostotę pilotażu. Nie tak dawno załogi otrzymały "Lancaster'y", samolot szybki, nowoczesny, "pure aircraft", jak mówią z mławszymi zadowolenia studenci Politechniki, latający w dywizjonie.

Celami bojowymi były: w jesieni 1940 r. niemieckie porty inwazyjne, później przemysłowe bazy w Niemczech i Francji; dywizjon minował ponadto wody nieprzyjacielskie. Ostatnio bombardował wybrzeża Normandii. Co pewien czas w dzienniku lotów powraca jak refren cel okupowany drogą: postokroć przekładę kolorowe piekło — Ruhra.

Nie jest możliwe streścić historii dywizjonu, bo skrót musi operować ogólnikami, a życie lotnicze na wojnie jest bogate, piękne i trudne. Już są grube księgi dywizjonowe, jest wiele nieoficjalnych, przepysanych pamiętników. Ktoś — oby jak najprędzej — złożył te rozrzucone elementy w rysunek, z którego całe pokolenie polskie będą brać wzór. Nie piszę czego wzór, bo lotnicy nie znoszą wielkich słów. Ale wiem jedno: żadne z tych wielkich słów w odniesieniu do dywizjonu nie stoi ponad określaną wartością.

## MASZYNA, MECHANIK, LEKARZ

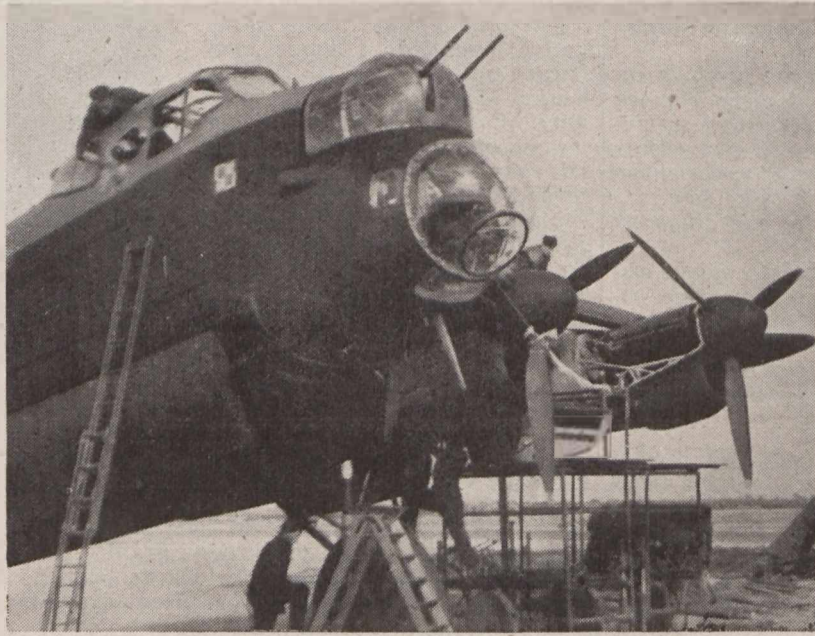
Dywizjon, który pierwszy z jednostek polskich wywalczył sobie "Lancastery", nie może się nasmarkować tej maszyny. W dzień a często i całe noce dwaj inżynierowie i mechanicy "tyrają" przy samolotach. Dla laika wewnątrz "Lancastera" wydaje się pełne zakamarków, jak stare mieszkanie. Ale nie zbędne graty są w tych zagłębieniach, przejściach, zakątkach. Każdy kawałek drutu, tafelka szkła, każdy guzik i strzałka, składają się na sprawność maszyny. A są tego setki. Kabina pilota to wystawa zegarów, pod nią zaś, poziomo, klawiatura klamek, zacisków, rączek. Nawigator na niemal "biuro", oddzielone czarną kotarą od reszty załogi i okien maszyny. Strzelec tylny, którego wieżyczka nie jest osłonięta, tkwi tam w elektrycznie ogrzewanym ubraniu i elektrycznie ogrzewa wieżyczki karabinowe. "Lancaster" jest z roku obrzymów: rozpiętość

skrzydeł wynosi 102 stopy! Owe drzwi bombowe, które pilot otwiera nad celem, to nie drzwi, to wielkie wrota. Elektryczny odkurzacz do czyszczenia wnętrza samolotu, ma wysokość trzech metrów.

Po spacerze w kadłubie, po przelezeniu wielkich progów, po zejściu po drabinie w dół, spotykamy por. inżyniera W., który, podchodząc do mego przewodnika, por. inżyniera S. pokazuje mu jakieś małe kółko i coś w rodzaju śrubki.

— Ach, to to! ... — spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Stoję, przeraźliwie marna, w obliczu technicznej magii. Od tego oto drobiazgu, który ma wielkość ziarenka kukurydzy, od tego kółka nieco większego niż obrączka, zależał wczorajszy bojowy lot obrzymów, bo, po starcie podwozie "odmówiło schowania się". Pilot, chorąży N. dostał rozkaz zrzuć bomb do Kanału i zawrócenia na lotnisko. Twardy jest chłopak z 24-letniego chorążego N., przeszedł dwie, niemal śmiertelne kraksy, miesiąc temu wyciągnięto go z płonącej maszyny, więc się takim drobiazgiem nie przejął. Przejeździł się za to technicy. I oto leży na dłoni ta jakaś jedna milionowa cząstka samolotu, która od-



Mechanicy przy pracy

mówiła posłuszeństwa. Inżynierowie kiwają głowami. Oni znają magię techniki.

Znają ją i mechanicy samolotów, o których napisano już tak pięknie i tyle razy, że gdyby ilość dobrych słów mogła im wymierzyć sprawiedliwość, byłiby już dawno... przecenił. Tymczasem daleko jest nawet do realnej ich oceny wyrażanej normalnie awansem i gażą. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Ich zale nie często słyszy "góra" /której, jak mi wiadomo, leży na sercu sprawa awansów mechaników/, natomiast słyszą je codziennie oficerowie techniczni, którzy nie pomóc nie mogą. Ale Polak, jak każdy Polak: może narzekać, lecz swoje robi. To też robota mechaników lotniczych dywizjonu jest wspaniała.

Osobą, która poza inżynierem i mechanikiem ogląda maszyny polocie, jest lekarz. Sprawdza on, czy opatrunki osobiste, które ma każdy z siedmiu członków załogi, i czy apteczki ogólne są w porządku. Plagą w dywizjonie — jak zresztą w całym lotnictwie — jest ściąganie nożyczek z paczki opatrunkowej. Są takie poręczne! Kapitan dr. W. uzupełnia opatrunki z wrodzoną pogodą i co miesiąc przeskłada załogi w pierwszej pomocy sanitarnej.

Posiada on pewne zabawne przyzwyczajenie: nie lubi siedzieć. W r. 1940, gdy przekradł się z Warszawy do oddziałów polskich w Palestynie, zdarzyło mu się tyle razy siedzieć w europejskich aresztach, że uraz pozostał do dziś. Zawsze woli stać i zawsze machinalnie ustawia się przy najbliższym oknie. Tyle razy wywiewał przez okno!

## UŚMIECH LOTNISKA

W przerwach na posiłek po wszystkich drogach i drózkach lotniska pedałują, biegają, chodzą — polskie "Wafki". Idąc z panią oficerką, widzisz ich salutowanie: ruch szyi, głowy, ręki posiada sztayność wojskowej musztry, twarz natomiast pełna jest kobiecego uroku, bo uśmiechają się oczy i usta. W takim salutowaniu przeskłoniła jej pani komendantka.

— Nie salutuj obojętnie, bo każdy ci tu bliski. Nie salutuj nie dbale, bo wyglądasz wtedy na zarozumiałą, a nie ma z czego. Salutuj z uśmiechem!

## W DYWIZJONIE ZIEMI

Komendantka, porucznik Stefania Z. jest żoną wojskowego. Jako młodzista dziewczyna należała do P.O.W., broniła Warszawy w 1920, potem zaś stale pracowała w kobiecych organizacjach przysposobienia wojskowego. Dwie baretki, Krzyż Zasługi i "Polska swemu obrońcy" mówią o przeszłości. Teraźniejszość — to kierowanie licznym zespołem "Wafek". Jest to rola i trudna i wdzięczna.

Pewien pilot "Mosquito", który lata już w trzeciej kolejce bombowej, a więc doświadczenie z tej wojny ma niezgorsze, powtarza uporczywie: "Na dowódców nam nie trzeba Napoleonów, ale pedagogów". Ten dopiero byłby uradowany, widząc metody pracy komendantki wśród przeszło półtora "Wafek". Serce i intuicja sygnalizują jej, gdy w jednostce czy grupie jest moment rozterki, lub walki, lub dojrzewania, a rozum i doświadczenie śpieszy, by ten moment stawiania się innym człowiekiem, innym zespołem, jed-

dzi za nią oczyma, nazywa się "Kmicicem".

Jeśli piszę tak obszernie o "Wafkach", to nie przez solidarność pki. Te dwie oficerki na czele dużej grupy Polek pierwsze odeszły do "linii". Sygnalizują kopalnie tematów dla pedagogów, psychologów, dziennikarzy. W dywizjonie Ziemi Mazowieckiej jest zaczątek tego, co rozbudujemy w Kraju: czynna i umiejętna pomoc kapłanowi dla lotnictwa.

## KAPELAN, KAPLICA I KŁOPOTY OŚWIATOWE

Kiedy raz po kolacji weszłam do messy zobaczyłam, że w kącie messy biblioteki, barczysty ciemny porucznik mocuje się z drobnym małym kapitanem. Śmiały się obaj przytem niepowstrzymanie i to jeden to drugi gubił okazję dobrego chwytu. Wreszcie porucznik wduśił kapitanu w fotel.

— Czego chcesz, papłoku? — dyssał kapitan.

— Ty mazoku, ty! — śmiał się porucznik.

— Odejdź, bo cię fąknę! — groził, raczej teoretycznie, kapitan.

Moje wejście spłoszyło śląskie wymyślanie i zwolniło kapitanu. Porucznikiem okazał się 32-letni nawigator Franciszek D, Ślązak, kapitanem 30-letni ksiądz kapelan Franciszek K. proboszcz parafii Bożego Ciała w Krakowa, zakonnik z zakonu kanoników regularnych, kiedyś wytrwały turysta po Śląsku.

— Tak sobie przypominamy czasem naszą gwarę — tłumaczył zaczerwieniony kapelan, poprawiając przekrzywioną koloratkę i uśmiechając się po sztubacku.

Kapelan dywizjonu, będąc w Rumunii, szmuglował wizy pod szataną. W Anglii spokojny żywot w wojsku nie przemawiał mu do przekonania. Na lotnisku używa roweru. Inaczej nie zdążyłby! Odwiedzić chorych i rannych na jednym końcu, lekcja z junakami na drugim, nabożeństwo czerwo-we, spowiedź Polaków i Anglików, po kolacji próba chóru mechaników w pokoju przy kaplicy. A gdy są loty, czekanie na załogi do 2-ej, 3-ej, 5-ej w nocy. Rano zaś normalna służba w kaplicy.

Z kaplicy wszyscy są dumni i prowadzą tam swych gości. Początkowo był to jakiś warsztat, po środku stał stół na cementowych nogach. Gdy Anglicy oddali budynek kapelanowi, ksiądz skrzyknął lotników do pomocy. W pół godziny stół zniknął, zjawilo się natomiast linoleum zdobyte sposobem wiadomym tylko niektórym. Potem, już jawnie, postarali się lotnicy o krzeselka. Ołtarzem zajęło się pięciu: kreślarz, mechanik, grawer, sztygar i zawodowy podoficer. Pracowali wieczorami przez miesiąc, rezygnując z wolnych dni. Klóćli się przytem bezustannie o szczegóły ołtarza, jak tylko Polacy przy rażnej pracy klóćli się umięją: wybuchowo i wesoło. Gdy złożyli ołtarz, gdy ustroili kaplicę kwiatami, zaczęło się jej życie codzienne. Chodzą na mszę lotnicy z "wodzem" na czele, chodzą "Wafki", Anglicy w mundurach i cywilni z pobliskich farm. Dla kapelana nie ma rzeczy niemożliwych. Chce kupić fisharmonię — już sypnęły się datki i w ciągu dnia zebrał potrzebne £14. Proponuje kotary — już mu przynieśli £10. Ma ile zechce i kiedy zechce.

Służba duszpasterska to jedno, praca oświatowa — to drugie pole działania księdza. Tak się złożyło, że dywizjon przez czas dłuższy nie miał oficera oświatowego i kapelan spełnia jego funkcje. Ku zgromieniu księdza junacy, którzy przyszli na lotnisko, zostali batmanami. Dzięki zrozumieniu dowódcy, przeniesiono chłopców do dywizjonu i zwolniono na naukę przed południem. Uczą ich "Wafki" i lotnicy. Kurs szkoły powszechnej odchodzi aż miło. Kapelan organizuje również lekcje dla "Wafek", pragnie, by pokończyły szkoły powszechnej lub gimnazjum.

Ksiądz widzi czasem na lotnisku rzeczy niewidoczne. Poskarżyli mu się kiedyś chłopcy z obsługi naziemnej, że "Wafka", która z nimi pracuje, jest ciągle osowiała, ani się uśmiechnie, ani zażartuje. Nie to, co poprzednia Angielka, aż smutno razem pracować! Kapelan duzo jeździ na rowerze. Jechał tedy w parę dni potem wśród kwitnących łąk żyta i widzi, że

właśnie w bok skrzyła owa "osowiała" "Wafka", zsiadła z roweru na miedzę i płacze. To tak duszko spędzasz swego "offa"? — pomyślał kapelan. Delikatnie dowiedział się od przelotnych, kto ona, czemu płacze i jak nie szurnie do tych, co chcieli uśmiechu od "Wafki", jak ich nie ruinie.

— Kobieta straciła męża, a nim go rozstrzelano, pokazano go jej zmasakrowanego. Potem straciła dziecko w drodze na zesłanie, a drugie umarło z głodu. I wy chcecie, żeby śmiała się z wami, jak dziewczyna, która nie przeżyła żadnej tragedii, za którą stoi całe potężne imperium? Mówię wam, jak jest, a od was już zależy, czy ona znajdzie tu życzliwych ludzi czy potrafi się uśmiechać.

Dzisiaj dywizjon — to mała społeczność. Są ci, co latają "na wojnę" i jest zaplecze, są kobiety i mężczyźni, zdrowi i chorzy, do-rośli i zielona młodość. W tym światku kapelan Franciszek K. spełnia nieraz rolę katalizatora: wywołuje i przyspiesza pewne reakcje, sam nie biorąc w nich udziału. Nie krąży wokół jego osoby owe przesydy, że obecność księdza "zapęsza". Bywa na starcie i zawsze bywa przy powrocie. Życie i śmierć idą swoim torem, a lotnicy są księdzu Franciszkowi tylko wdzięczni, że i on ich wygląda.

Pytałam dowódcę o kapelana. — Kapelan? Fenomenalny!

Pytałam załogi. — Kapelan? Najserdeczniejszy przyjaciel i kolega.

Pytałam księdza, dlaczego przeszedł z armii lądowej do lotników. — Bo ich bardzo Kocham.

## DOWÓDCA

Major Teofil P., jako chłopak, grywał zapamiętałe w radomskich "Czarnych". Był w drużynie bramkarzem: cierpliwym, zwinnym, silnym. Takim jest jako wingcommander/dowódca "skrzydła". Cierpliwy, kiedy siedzi w swojej wąskiej, ciemnej kancelarii; właśnie jest kwadrans "piti" /Physical Training/, więc personel biurowy gra w piłkę, która lupie co chwila o blaszaną ścianę beczki śmiechu na wysokości głowy dowódcy. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, major P. załatwia "papierki". Tak jest! Musi, choć nie znosi tych wykazów, listów, telefonów. Spał dziś "aż" pięć godzin, bo wyprawa wróciła wcześniej, a że cała, więc dowódca promienieje. Są już i gratulacje z grupy za celność bombardowania. 7-ma wyprawa w ciągu 8 dni inwazyjnych!

O zwinności dawnego bramkarza mówią cyfry: 37 lotów bojowych na "Wellingtonie" i 8 na "Lancasterze". Siła zaś? Siła leży w tym, że potrafi, sypiając po dwie, trzy godziny na dobę, być równym i spokojnym. Ze zna załogi, dba o ich "spirit" i rozumie je. Ze lata sam, wykłócząc się zresztą o każdy lot z komendantem bazy, gdyż według przepisów dowódcy wolno latać tylko raz na miesiąc. I że rozumie, iż poza lataniem lotnisko posiada swe życie "ziemskie": personel naziemny i "Wafki", szkołę powszechną i izbę chorych, kaplicę i świetlicę.

— Wróżyła mi jedna z "Wafek"

Polski "Lancaster"



# MI MAZOWIECKIEJ

z ręki: będę jeszcze szczęśliwy i umrę śmiercią naturalną. Szczęśliwy, to znaczy, że — tak jak marzę — wrócę do Kraju na "Lancasterze" — mówi z uśmiechem na bardzo mizernej twarzy. — Więc dobrze, że zaczęliśmy już raz tę inwazję.

## "ZACZĘLIŚMY INWAZJĘ"

Dowódca, jak i wszyscy na lotnisku, dumny jest, że dywizjon był czynny w noc inwazyjną. Celem były tereny koło Cherbourga. Na odprawie specjalną wagę przywiązano do celności bombardowania, które musiało być dokonane z wysokości najwyższej 2000 stóp, nakazano ostro trzymać się ściśle trasy docelowej i powrotnej, zalecono całkowity brak zainteresowania tym, co się dzieje w Kanale.

—No to wiedzieliśmy, że "job" jest specjalny — mówi por. nawigator Andrzej G. — Ci, co zegnali nas, trzymali kciuki w górę. Nad celem było jasno od księżyca i zorzy zachodniej. Ogień artylerii zrazu mocny, osłabił pod koniec bombardowania. Wracając, broń Boże nie zboczył na wschód! — zobaczyliśmy setki amerykańskich transportowców "Dakota" lecących ku Francji. Wiozły spadochroniarze. A więc — wzięliśmy bezpośredni udział w inwazji. Nie zaplecze było naszym celem, lecz cele taktyczne.

Sięgnijmy do pamiętnika por. nawigatora Zygmunta P., który zaczynał pierwszą z trzech kolejek bombowych w Dywizjonie Ziemi Mazowieckiej. Niech mi wybacz, pijąc dobre południowe wino, że bez pozwolenia cytuję wyjątek spod daty 14 września 1940 r. Jakże to wyglądała owa pierwsza wyprawa bojowa Dywizjonu?

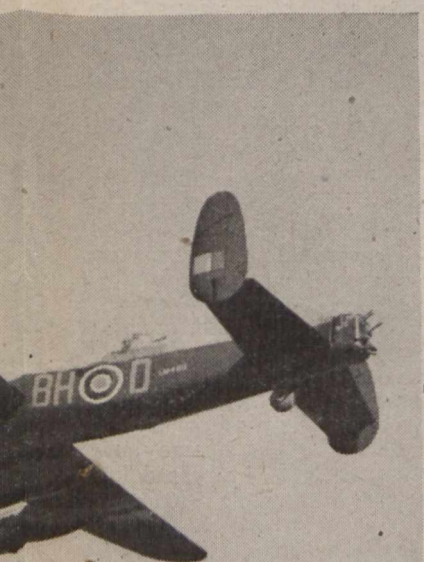
"Nareszcie lecimy! Po roku boleśnej przerwy, przykrzych rozczarowań, lecimy tam, na drugą stronę Kanalu. Lecimy wygrażać bomby na brzeg francuski, gdzie lęgnie się inwazja na Anglię, gdzie skupia się militarny wysiłek przekleństw Niemców do ostatniej śmiertelnej rozgrywki.

... Nasze chłopaki chodzą przejęte od najmłodszego smolipyska do najstarszego włącznie. Każdy skakał koło tych maszyn i tych chłopaków, co pierwsze polecą: a może to, a może tamto, pomóc, zrobić. Koleżaniśtu jak ciężka cholera. Wtedy dopiero poczuliśmy się naprawdę wielką eskadrową rodziną... Wreszcie wystartowali, zegnani zycieliwymi okrzykami. Gdy ostatni punkcik rozplynął się na niebie i zniknął, rozeszli się wszyscy po hangarach. Rozpoczęło się pierwsze dręczące wyczekiwanie, czy wrócą wszyscy? ...

10 wieczór: Zapalono czerwone światełka lotniskowe, świetlna litera T do lądowania wystawiona, w kasy nie alkohol do obłania też "ready", wszystko czeka. Jest... zrazu cichy niby brzęczenie komara warkot silnika, coraz głośniejszy, wreszcie wiadać trzy światełka pozycyjne. Świetlną literą dnia prosi o lądowanie, błysk zielonego światła mu odpowiada, podchodzi do lądowania, ładuje w sнопie światła reflektora lotniskowego. Podbiegamy zobaczyć, czy wszystkie bomby wypadły.

Pierwszą jest kpt. Antonowicz /z dywizjonu bratniego/. Nasi późniejsi wrócą, bo natolny na cel równe być muszą. Jak na poligonie. Postrzelać z karabinu też można. Króciutki nerwyki po reflektorach. Tru-

ster" w powietrzu



fić się koniecznie nie musi, ale Germanom w ten sposób też kota można popędzić. A na te wszystkie zabiegi Angliki tylko trzy minuty przeznaczyli. Toż my, psiókrew cholera jaśna, po to tu do Anglii szli, po to się przez drogę tyle namęczyli, po to tak długo czekali, żeby oni nam teraz tylko trzy minuty nad Niemcami przeznaczyli?! Przeznaczać się mogą, wolno im, pełnoletnie są, a my swoją szosą swoją robotę równo odstawić będziemy, tylko trzeba tam w powietrzu uważać, aby się na jakiegoś rodzaju nie wpakować.

Nasze eskadrowe europłany wróciły około północy. Rozumie się, że wszystkie. Około 5 nad ranem kładli się chłopaki spać zmęczone srodze i na skrzydło strasznie ciężkie, bo się kapkę napili."

Dwie daty. 14 września 1940 i 5 czerwiec 1944. Jakż sżmat życia! Dywizjon, z broniącego Wielką Brytanię przed niemiecką inwazją, stał się sam agresorem, narzędziem inwazji. — "Czuliśmy się jak karzący miecz w rękę sprawiedliwości" — powiedział mi bombardier, zrzucający bomby w nocy 6 czerwca.

Marzenie tyłu, którzy służyli w Dywizjonie: zacząć powrót — staje się udziałem następnych, innych, szczęśliwszych.

## CI "SZCZĘŚLIWSI"

Jest 14 czerwiec, tydzień po rozpoczęciu inwazji. Jemy właśnie późną kolację po moim przyjeździe, gdy kpt. J., spojrzawszy na zegarek, mówi powolnym, równym głosem: — "Za 30 sekund będą bombardować, za 20, za 10. Bomby poszły!" Cel tego dnia był bliski, więc już przed 12-tą czekamy na dachu Flying Control. Z obowiązku powinno być tu parę osób zaledwie, ale jest kilkanaście: obie panie oficerki, kapelan, koledzy.

—Zgłosiło się już czterech — mówi oficer techniczny.

—Już pięciu — poprawia ktoś, wchodząc po schodach. — Jeszcze czekają na dwu.

Cisza nocna gubi się powoli w szumie czteromotorowych maszyn. Nie słychać już ani wiatru, ani szumu drzew, które w zmierzchu czyniły z lotniska pole żyjące życiem lata. Nadlatują. To nie są te "Lancastery", które, ciemne i tajemnicze, suną nad Londynem. Migają ich kolorowe światła, lotnisko nie zna blackout'u, świeci czerwienią i żółtością lamp. Ładują tuż przed nami, równo, prędko. Każdemu dotknięciu kół o ziemię towarzyszy nagła cisza na dachu Flying Control. Szanuj ją! Ten moment bowiem powraca załogi ziemi i życia.

Wypatrujemy jeszcze dwu samolotów i nikt nic nie mówi. Jeśli nie zgłoszą się zaraz, czekanie stanie się obawą. Wylatywały w zwartym zespole, powinny powracać jeden tuż po drugim. Gdy tak czekamy, jasne niebo ożywa nagle, przejmujący szum wzmagą się. Dziesiątki światła sunie szeregami na południe wschód: nowa wyprawa. Musiała jeszcze przed dolecaniem do nas zebrać z lotnisk wszystkie strumienie dywizjonów w jeden wielki nurt, bo światła suną po niebie szeroko i długo. Niebo jest jasne od zorzy wieczornej i nie widać na nim gwiazd prawdziwych, przeto widok ma w sobie coś z apokalipsy: ruszyły gwiazdy.

A nasi? Gdzież są nasi? Są! Jeszcze dwa zamknięcia przy dwóch lądowaniach i przejęty głos oficerki mówi miękko w ciemności: — "Chwała Ci, Boże".

Teraz wesoło i gwarno schodzą wszyscy na dół i gnają na rowerach: jedni do pokoju załóg, inni do "messy". Por. Aleksandra D. ma dziś nocną służbę w Intelligence room więc śpieszy, by podać przedtem załogom herbatę i sandwicze. Por. Stefania Z. nie ma służby i mogłaby iść spać, gdyby nie to, że dziś dwie załogi leciały po raz pierwszy, więc chce wiedzieć, jak się czują. Oficerowie wchodzi do "messy" głodni, mimo poczęstunku w pokoju załóg. Umyci, przyczesani, w wysokich kołnierzach białych i granatowych swetrów, niektórzy jeszcze w futrzanych butach, bo zmarzli.

—Pani dziedziczko, głodni jesteśmy — wołają serdecznie do por. Stefanii, która krząta się koło stołu i uśmiecha prześlicznie.

Marysia, polska "Wafka" z Polesia, przynosi każdemu bekon z jajkiem i "chipsami" i to nara-

zie, nic innego, jest przedmiotem powszechnego zainteresowania. Nasyciwszy głód, zabrali się do puddingu i wtedy zaczęli opowiadać o locie.

—Rzucił się na mnie w pokoju załóg korespondent "Skrzydeł", sierżant R... — mówi por. Andrzej G. — "Jakie newsy?" Idź Pan do kina, mówię mu, jak chcesz newsów. Żadnych! Wstyd człowiekowi na taką wojnę latać. Żadnego strzelania, tylko w jednym miejscu skoncentrowanie artylerii. Dym dochodził do 13.000 stóp. Ale w ogóle spacer, nie wojna. To nie to, co dwa dni temu...

—Co było dwa dni temu? — pytam.

—Trzy nasze załogi nie wróciły z nad Ruhry — odpowiada krótko. Teraz nareszcie rozumiem. I wruszone: "Dzięki Ci, Boże" "Wafki". I cień, który przemknął po twarzy adiutanta, gdy mówił, że ma ostatnio dużo pisania. I godzinę śmiechu oraz dowcipów w "messie" zaraz po moim przy-



Żałoga "Lancaster'a"

jeździe. Były to śmiech i dowcip tak żywiołowe, że w żadnym wypadku nie mogłam położyć tego na karb mego przybycia, bo wiadomo, że jaką plagą uważana jest na lotnisku osoba pisząca, w dodatku pisząca kobieta. Dowódca postawił wszystkim piwo, trzem zaś paniom sherry, dowcip gonił jeden za drugim, śmiech grzmiał. Tak śmieją się ludzie, których nerwy są napięte i którzy na krótko odpoczywają w śmiechu — pomyślałam wtedy.

Następnego dnia poleciali znowu. Tym razem dowódca zdołał wytargować lot dla siebie. Wrócili wszyscy. Dwie wyprawy udane — ciężki nastrój został przelamany. Lotnicy już nie zakrywali się od innych plachtami gazet, "Wafkom" obeschły czerwone oczy. Zaczęli nawet mówić o tych dwudziestu i jednym towarzyszach, snując nadzieje ocalenia.

W pewnym momencie w "messie", gdzie wszyscy pili poobiednią kawę zawrzało: twarz dowódcy zrobiła się twarda i pochmurna, adiutant przestał się pogodnie uśmiechać, młodzi gestykulowali, coś wykrzykiwali i aż czerwienieli z irytacji. Było to właśnie po przybyciu poczty. Nagadawszy się między sobą, podeszli do mnie.

—Pani widzi, co piszą?! — podali mi "Dziennik Polski" z 10 czerwca i wskazali na tytułowej stronie komunikat kwatery prasowej S.Z. Przeczytałam: "Dywizjon ciężkiego bombardowania wykonał w nocy z 9/10 i 11/12 czerwca zadania patrolowania wybrzeży Francji". Por. Andrzej spojrział na mnie:

—Nawet tego nie wiedzą w Londynie, co robią najcięższe bombardowce! Patrolują! I pomyśleć, że redagował to jakiś lotnik, że czytało potem jakieś biuro prasowe, jakiś redaktor to puścił na pierwszą stronę. Przez trzy ręce co najmniej przechodziła ta notatka, ale żadna z trzech głów nie pomyślała, czy nie nauczyła się jeszcze dotąd, co robi dywizjon ciężkich bombardowców. Patroluje! Uważa Pani? A obok, proszę: opis wyprawy na Ruhre. "1400 tonn bomb na Gelsenkirchen". Komunikat RAF podaje, że nie wróciło 17 maszyn. Ale że było w tym trzy nasze, o tym dowiemy się z polskiej gazety za tydzień może. A nasz dywizjon przywiózł wówczas z nad Gelsenkirchen najlepsze fotografie

z całej Grupy, najlepsze na przeszło... maszyn! I straciliśmy 21 chłopców! I nie! Patrolujemy! — Inteligentne szare oczy pociemniały mu z żalu i obrażonej dumy.

Por. Andrzej, który ma półdym Politechniki Lwowskiej, przyszedł do lotnictwa z broni panczernej. Czemu? "Bo to jest wspaniałe: latać. Wspaniałe i zaszczytne!" Z saperów przyszli dwaj inni: por. Eugeniusz Ch. z Przemysła i por. Kazimierz G. z Niepołomic. Jest to para stala wiodąca spór o starszeństwo i piękno rodzinnych miejsc. Urosłam w oczach por. Eugeniusza, bo znam Przemysł.

—Tylko do Przemysła wracam po wojnie. Jakże tam piękne niewiasty! Ty znasz Przemysł, ty? — zwrócił się do kolegi.

—Przypadkiem przejeżdżałem i o mało mnie tam nie obito, takie typy!

—To nie świadczy źle o mieście — wykrzyknął por. Eugeniusz Ch. — Najstarsze kroniki notują Przemysł.

—A w Niepołomicach polował król Kazimierz? — odezwał się por. Kazimierz G. — Królewskie miejsce.

w Szkocji, gdzie opiekuje się jako harcerz, drużyną szkockich skautów, z nimi jeździ na obozy. Ze swego nie daruje — to pewne. Gdy przewodnik, prowadzący jego grupę ku węgierskiej granicy, korzystając z niebezpiecznej sytuacji, żądał dodatkowo po 200 zł. od osoby, por. Franciszek G. nie, ale tak zgrzytał zębami ze złości, że aż go musieli towarzysze uspakajać. Gdy minęli strażę, a grupa zbiegła w dół, zwrócił się do przewodnika.

—No, dziękuję panu, powiedziałem, zaczynam teraz nowe życie — i wyciągnąłem rękę do niego. Ani drgnął, trzymał rękę pod kurtką, wiedziałem, że na moim mauzerze, którego mi szelma zabrał. Ale uśmiechnąłem się do niego i wtedy podał mi rękę. Szybko kopnąłem go kolanem w brzuch, przewróconemu wpakowałem chusteczkę w usta, wyciągnąłem swój pistolet, odliczyłem z portfela zabrane nam podstępnie pieniądze, zabrałem ubożuchne futro, które wyludził od księdza, i zastawiwszy, go zamrozonego, dogoniłem towarzyszy. Oddał? — zdziwił się zsiniał z zimna ksiądz. Mruknąłem potakująco. I pieniądze wzięte extra — też.

Każdy z tych latających, 40-to, czy 20-to letni ma za sobą życie pełne przygód. W sobie nosi wspomnienia rodzinnej wsi, szkoły, drogich osób. To nie tylko Janek lata na "wysoką" lub "niską wojnę". Nie tylko Henryk grzeje do myśliwca. Nie tylko Franek prowadzi potrzaskaną maszynę do bazy. To lata i walczy, to u Boga wywalcza sprawiedliwość dla Polski niepołomicki las, szkoła na Antokolu, twardy trud sztygara, modlitwa lwowskiej matki, westchnienie radomskiej narzeczonej — towarzyszące Kazikom, Bolkom, Frankom.

I dlatego, będąc w dywizjonie, nie tylko dywizjon masz przed sobą, lecz Polskę i bogactwo jej natury masz przed sobą. Naturalnie, lotnictwo nie ma na ten obraz monopolu. Ale prawdziwą daleką Polskę na pewno znajdziesz w dywizjonie: walczącą, uśmiechniętą wbrew lękowi, patrzącą realnymi oczyma wprzód.

## ZAMKNIĘCIE

Byłam za krótko w dywizjonie, aby porozmawiać bliżej z "Wafkami", posiedzieć w świetlicy, poznać sierżantów i żołnierzy dywizjonu. Będzie to tematem następnej wizyty, tymczasem zaś, chcąc pokonać zaczęte rozmowy, umówiłam się z por. Bolesławem C., że się spotkamy w "Ognisku Polskim", gdy przyjedzie na urlop do Londynu, bo nie było dość czasu na szkic jego sylwetki. Nie spotkaliśmy się. Pisałam przeto do Andrzeja G., którego urlop wypadł później. Nie odpowiedział. Napisał natomiast "Burmańczyk":

"U nas, niestety, jedynie zmiany — to brak w messie kilku kolegów. Parę dni temu zabił się Andrzej G., zaś przedwczoraj nie powrócił z lotu Bolek C. i Z. Bardzo to przykre i oczywiście przez pewien czas wpływa deprymująco na pozostałych. Trudno jednak, gdzie drwa rąbią..."

Bolek C. miał lat 24, był studentem politechniki warszawskiej, spod Inianej czupryny uśmiechały się bardzo niebieskie oczy. "Nie wrócił", a więc może się jeszcze znaleźć? Ale Andrzej zginął na pewno. Gdy rozmawiał z mną, miał 14 lotów i mówił do księdza: — "Jak ja skończę kolejkę, to tak wszyscy będą leżeć w messie, księżę kapelanie, od ściany do ściany" — tu siekał ręką powietrze, niby że wszyscy popadają jak snopki koło siebie. To jego oczy błyszczały, gdy mówił: — "Czemu się przeniosłem do lotnictwa? Bo to jest wspaniałe — latać. Wspaniałe i zaszczytne!"

Jakże było owych dni w dywizjonie? "Wafki" znów nie jedzą posiłków i poplakują po kątach. Kolega znów goni na rowerze wokół lotniska, by zabić czas. Kapelan znający dusze: ich wielkość i grzech, ich poświęcenie i zwątpienia, martwi się — czy "oni", tam, w Londynie, wygrają wszystkie atuty, jakich dostarcza walczący lotnik? Dowódca siedzi przygasły, czuje, że ma w tej chwili lat 50, nie 31. Siedzi w messie, gdzie to wszyscy mieli leżeć pokotem po skończonej kolejkę Andrzeja. Patrzy na swe twarde ręce, które parę godzin temu zdjął z drążka sterowego; przez te ręce dowódca Dywizjonu przechodzi w sławę — Poliska.

ALEKSANDRA DOBROWOLSKA

# Łzy i uśmiech Francji

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Dotarliśmy do drzew. Dotarliśmy do zielonej trawy.

Słów tych nie zrozumie ten, kto nie oglądał 32-kilometrowego pola bitwy na odcinku Caen-Falaise. Pola, na którym nie pozostało nic z życia i zieleni. Bezlístne kikuty drzew patrzają tu smutno w niebo. Co kilka kroków — olbrzymie leje po bombach, rozbite działa, spalone czołgi niemieckie i nasze, rozrzucona amunicja, gdzieś tam szczątki straconego samolotu. Jeszcze straszniejszy przedstawia widok gruzy wsi i miasteczek. Resztki sprzętów przemieszane z kamieniami i cegłą, kratery wypełnione cuchnącą zieloną wodą, opuchnięte kadłuby zabitych krów i koni.

Do tej pory na tym straszliwym polu bitwy można jeszcze spotkać nieopogrzebane zwłoki ludzkie. Wszędzie są pola minowe. Jeśli akurat trupy leżą na nieoczyszczonym z min terenie nikt, kto nie posiada pod ręką wykrywacza — nie chce ryzykować swego życia. Zresztą wszyscy się śpieszą. Front posuwa się naprzód milowymi krokami. Amunicja, woda, żywność, cysterny benzyny mają pierwszeństwo. Gdzieś tam z tyłu idą wolno oddziały pionierów. Oni doprowadzą zdobyte tereny do porządku.

W tumanach kurzu migają białe paski i rekawice żołnierzy regulacji ruchu. Ciężka to praca. Trzeba likwidować zapory, kierować tysiące samochodów w różnych kierunkach, odpowiadać nieustannie na setki pytań.

Na południowy wschód od Falaise pracuje już polska regulacja ruchu. Strzałki ze znakami Dywizji zaprowadzą nas do rzutu operacyjnego, albo i jeszcze dalej — do pierwszych linii. Pojęcie "pierwszej linii" jest zresztą obecnie rzeczą względną. Nieraz czołgi są daleko na przodzie, a piechota dywizyjna likwiduje na tyłach gniazda oporu niemieckiego i wyłapuje snajperów. Zdarza się nawet czasami, że ta "likwidacja" odbywa się bez zbytecznego pośpiechu. Wyglądni Niemcy po kilku godzinach oczekiwania sami wyłażą ze swoich kryjówek i z radością idą do niewoli, gdzie na pewno dostaną wodę i jedzenie.

Przez mosty zbudowane przez polskich saperów na rzece Dives pędzą pojazdy. Zatrzymujemy nasz jeep na wzgórzu i z radością wciągamy świeże powietrze w płuca. Zielen! Trawa! Cudowna dolina rzeki wydaje się ziemią obiecaną po księżycowym krajobrazie "drogi do Falaise".

Tam właśnie wita nas po raz pierwszy ludność francuska. W Jort, Louvagny, Barou i dalej wszędzie są tłumy, wszędzie panuje entuzjazm. Drogami ciągną dwukółkowe wózki, wyładowane domowymi sprzętami, dorośli i dzieci podnoszą ręce na nasz widok, wszędzie są uśmiechy. Nad wózkami powiewają białe flagi: to znak dla Polaków. Nie strzelać! Swoi idą przez front.

W tej ogólnej radości i powitaniach zapomina się nieomal o straszliwej nędzy i cierpieniach, które ta ludność przeszła. A przecież... wypędzali Niemcy z domów całe wsie i miasteczka, "oczyszczając" teren frontowy. Powstałe tatory na drogach likwidowano po niemiecku — przy pomocy karabinów maszynowych. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi bezdomnych błakało się po terenie przyfrontowym, niejednokrotnie pod ogniem artylerii, często pod bombami samolotów alianckich. Bez jedzenia, z małymi dziećmi — koczowali po lasach, nieustannie prześladowani i przepędzani. Uciekający Niemcy zabrali wiele wózków i koni, zrzucając bez dyskusji rzeczy wygnanców. Kula rewolwerowa była odpowiedzią na każde słowo protestu.

Bezdomni — ale już szczęśliwi, wycieńczeni z głodu — ale uśmiechnięci Francuzi, z tak bardzo francuskim ożywieniem i bezpośredniością opowiadają nam jeden przez drugiego "jak to było".

Jak to było, gdy Niemcy wypędzili mieszkańców z przedmieść Caen, a potem strzelali do nich na szosie, jak to słuchali od lat radia po nocach, jak rozpoznawali samoloty Sprzymierzonych, jak było ciężko z jedzeniem, jak zapomnieli smak cukru, kawy i herbaty, jak dawno nikt z nich nie nosił skórz-



Powitanie Polaków na ulicy francuskiego miasteczka

nych butów, ale tylko ohydne drewniaki, jak to było wreszcie, kiedy Niemcy zaczęli uciekać przez lasy, a potem pędziły czołgi, straszny był huk, straszna była bitwa — i okazało się —

—Polonais! Polonais! Polonais! Vous! Nos libérateurs!

Z tłumy przeciska się jakiś obdartus. Jest bez butów, prawy rękaw od marynarki oberwany, twarz zarośnięta. Na kłapie zniszczonej marynarki widnieje barretka "Croix de Guerre".

—Służyłem w polskim wojsku — krzyczy z daleka. Mam "Virtuti Militari".

—Polak? — pytamy.

—Nie, jestem Francuzem. Ale byłem w armii Hallera. — Tu zaczyna wymieniać nazwy pułków, nazwiska, przypomina sobie jakieś polskie słowa. Ścisła nam ręce. Głos mu drży ze wzruszenia.

Pytamy, czy jest głodny. Wzbrania się wziąć cokolwiek, głód jednak zwycięża. Wyciąga łapczywie rękę po dużą porcję białego chleba z "corned beef'em". Siada na ziemi przy samochodzie i nieomal polyka chleb. W pewnym momencie zaczyna płakać. Łzy leją się ciurkiem na chleb, spływają po brud-

nych rękach.

—Boche! Boche! — powtarza.

—Salud!

Jakaś cicha tragedia jednego z tysięcy nieszczęśliwych. Zostawiamy go przy drodze bez dalszych pytań.

Mijają nas wozy polskich kolumn zaopatrzenia, jadące do magazynów, na dalekie tyły frontu. W polskich ciężarówkach pełno pasażerów; jakieś babiny z tobołkami pozbierane po drodze, dzieci, nawet psy i koty.

Patrzę na to i myślę, że cholernie miękkie są te polskie serca. Trzeba samemu zaznać wiele biedy i nieszczęścia, żeby tak współczuć innym. A współczucie naszych żołnierzy nie ma nieomal granic. Wielu z nich siedzi na froncie bez papierosów, bo wszystkie pooddał wali Francuzom. Wszystkie racje czekolady i cukierków zostały rozdane dzieciom. Jakaś kompania odnalazła na drogach kilka polskich rodzin emigrantów. W kilka minut zaopatrzone Polaków w cały worek żywności. Na próżno kucharz protestował, że będą bez obiadu i kolacji. Oddali i koniec.

Tak samo jest z jeńcami: przed rozpoczęciem działań wojennych

w sercu każdego Polaka zdawała się siedzieć jakaś straszliwa, bezlitosna bestia. W rzeczywistości żaden nie odmówi łyka wody z manierki lub papierosa. Niejedna paczka biscuitów powędrowała już do rąk niemieckich.

Wśród jeńców obraz nędzy i rozpacz przedstawiają właśnie Rosjanie, których Niemcy traktowali w wojsku jako podrzędniejszy gatunek ludzi... Widziałem ich w przejściowym polskim obozie jenieckim. Zbici w kupkę siedzieli apatycznie na trawie, dalecy od rozgrywających się wokół nich wydarzeń. Ludzie-automaty. Bezwolni, nieufni. Z Kazakstanu, z Nowosybirsk, Irkucka...

Żaden z nich w zasadzie nie jest zdolny wyobrazić sobie swojej przyszłości. Opanowani uczuciem rezygnacji, reagują jedynie na słowa "rodzina" i "dzieci". W sercach ich budzi się podświadome, bolesne uczucie rozłąki na zawsze. Tragiczni rozbitkowie drugiej wojny!

W tym samym obozie znaleźliśmy również oficerów niemieckich, w tym jednego pułkownika w pełnej gali bojowych odznaczeń, z przysłowiowym monoklem w o-

Jeńcy niemieccy wzięci do niewoli przez żołnierzy I Dywizji



## Ś.p. ppor. art. Wacław Morawski

Doszła do nas wiadomość o śmierci ppor. Wacława Morawskiego na polu walki w Normandii. Cała służba opieki nad żołnierzem bardzo odczuwała tę stratę. Tracimy w Nim piękną wzór oficera opieki, tracimy w Nim jasną sylwetkę Polaka, żołnierza i człowieka. Z wiarą w ideaty najwyższej próby, z gorącą wiarą w Polskę i Jej odrodzenie — tak jak żył, tak oddał swe młode życie.

Wielu spośród nas spotkało w swej pracy ś.p. ppor. Morawskiego. Na pewno każdy, kto Go poznał lepiej lub kto nawet tylko rozmawiał z Nim, musiał odczuć Jego swoisty urok oraz nieprzeciętną odrębność Jego umysłu i duszy. Inteligentny, rozsądny i rozumny ponad wiek, pelen zapалу do pracy kulturalno-oświatowej — ppor. Morawski był jednym z tych synów Polski, którzy imieniem Jej nigdy ujmą nie przynieśli, a zawsze

służyli Jej wiernie i ofiarnie. Miał to zapewne w tradycji rodzinnej, tradycji ziemianńskiego domu kresowego, tradycji szlacheckiej i rycerskiej. Z domu rodzinnego zapewne też wyłodził tę piękną starą kulturę, ten szczerą, naturalny demokratyzm, oraz właściwe Mu ludzkie i życiowe podejście do każdego człowieka — to wszystko co zyskiwało Mu sympatię i uznanie ze strony przełożonych, kolegów i podwładnych.

Śmierć na polu walki jest bezwzględna, jednakowo wyrzyna z szeregów młodych i starych, pułkowników i szeregowców, ludzi najlepszych i przeciętnych. Towarzysz to nieodłączny żołnierz. Dziś upodobała sobie ppor. Morawskiego.

Zegnamy Cię na zawsze, kochany, zacny kolego! Bóg da, że ofiara Twojego młodego życia nie pójdzie na marne, że przecież zaważę gdzieś na sz-

li wyroków Boskich i razem z setkami tysięcy innych żyć polskich sprawi, że odzyskamy Wolność i Niepodległość, jak tego gorąco pragnął. Nie odchodzisz od nas zupełnie, bo zostawiasz nam przykład — jak Polsce służyć trzeba, jak ofiarnie pracować należy, jak wyznawać najwyższe idee. Zostawiasz wśród tych, co Cię znali i co Cię kochali żal i ból, ale zostawiasz i wiarę w jasną przyszłość, bo nie może wszak zginąć Kraj i Naród, co takich synów z siebie wydał.

Niech Ci ziemia Francji lekką będzie!

Zegnaj, drogi i zacny chłopcze! Zegnaj, kochany kolego, zegnaj prawy żołnierz!

SZEF WYDZIAŁU PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH M.O.N.

ku. Stał dumnie wyprostowany, obrzucając pogardliwym wzrokiem grupkę jeńców. Został on bardzo upokorzony w swej dumie gdy na oczach wszystkich musiał pokazać polskiemu oficerowi całą zawartość swoich kieszeni, oddać dokumenty i wyjmować po kolei wszystkie rzeczy z walizki. Zapytał, czy może to zrobić jego szofer. Uprzejmie lecz stanowczo poproszono go, aby otworzył walizkę sam. Uczynił to z bolesnym grymasem na twarzy. Pozostali oficerowie, czekając na swoją kolej, udawali, że tego nie widzą. Jeden zaczął nawet czytać książkę.

Coś błysnęło w ręku oficera, gdy wyjął jakieś drobiazgi z kieszeni. Był to odpity od munduru, krzyż za kampanię w Polsce. Na jednym z ramion krzyża srebrzyła się data "1939". Zwrócono mu ten krzyż bez słowa. Siedząc na trawie w polskim obozie jeńców miał dużo czasu do smętnych rozmyślań na temat zmiennych losów wojny...

Pojechaliśmy dalej, oglądając po drodze rozbite stanowiska obronne Niemców. Moich towarzyszy ogarnęło gorące pragnienie znalezienia rewolweru niemieckiego.

Wogóle niemiecki rewolwer jest "hobby" wszystkich, aczkolwiek nie jest lepszy od brytyjskich i amerykańskich. Wszystko wskazywało na to, że znajdujemy ten rewolwer w rozbitym niemieckim samochodzie pancernym, na próżno jednak przeszukiwaliśmy wszystkie schowki i skrytki; znaleźliśmy magazyn z nabojami, skórzaną pochwę, dwa hełmy, karabin, kilka rakiet, dziesięć granatów, i pudełko norweskiego chleba. Rewolweru nie było! Zabraliśmy wobec tego chleb.

Wyciągnęliśmy termosy i przegrzając norweskim chlebem zaczęliśmy pić herbatę. Opodal nas znajdowało się niemieckie działo przeciwpancerne, które oglądali jacyś dwaj żołnierze kanadyjscy. Mieli większe szczęście. Śmiejąc się pokazali nam dwa rewolwery niemieckie i odjechali zadowoleni. Nie muszę chyba opisywać zawieszonych min moich kolegów.

"Łup wojenny" na froncie jest wielką atrakcją. Niejeden z naszych żołnierzy ma już piękną lornetkę, nie mówiąc o rewolwerach. Nam niektórzy ofiarowali różne rzeczy: połowę lunetu, niemiecki karabin maszynowy, t.zw. "Spanner" i kolekcję pornograficznych fotografii, kupionych przez jakiegoś Niemca w Paryżu. Luneta i karabin maszynowy były stanowczo za ciężkie. Odmówiliśmy również przyjęcia prezentu w postaci sześciu sprzężonych moździerzy z doskonałym podobno celownikiem.

Do obozu korespondentów wojennych wracaliśmy przez Caen. Obóz ten leży już za daleko od frontu i w najbliższej przyszłości będzie przeniesiony. Na razie jednak trzeba odbywać wielomilowe podróże, które nie należą do najprzyjemniejszych. Zwłaszcza przejazd przez Caen jest przykry: to zrujnowane i wymarłe miasto sprawia wrażenie olbrzymiego grobu.

Do niedawna Caen, a raczej, gruzy Caen drżały od nieustannego huku ciężkich dział. Dziś w Caen panuje cisza. Baterie przesunięto na południe.

W ciszy letniego wieczoru Caen wydało mi się inne. W parku bezlístnych drzew, zmienionym na cmentarz, gdzie co krok biela się krzyże — dźwięczały wesole głosy, dawał się słyszeć stłumiony śmiech. Jechaliśmy wolno jepeem przez mrok strasznego miasta.

Francuzki w białych bluzkach tuliły się do żołnierzy. Te białe bluzki i jasne sukienki Francuzek są szczególnym kontrastem w mieście, gdzie pył zrujnowanych domów pokrywa wszystko czarnoszarym dywanem. A jednak...

I tu zabląkał się uśmiech. Płynął wśród szepotu wyznań, wśród miłosnych uścisków niepomny na dzień wczorajszy, niepomny na wieczysty sen ludzi, których dotąd jeszcze nie odgrzebano spod gruzów.

Czyżby to był uśmiech Francji? Czy też jest to po prostu uśmiech mój i twój, uśmiech nas wszystkich, radosny uśmiech życia na przekór wojnie i śmierci?

Nie wiem.

RYSZARD KIERSNOWSKI

# Sprawy polskie w książkach angielskich

## UCIECZKA HENRYKA WALEZJUSZA

W świetnej monografii Ronsarda, D. B. Wyndham Lewisa\* — w związku z opisem stosunków na dworze andegawskim — poświęca kilka stron awanturze polskiej Henryka Walezjusza. Wybór Henryka na króla Polski uważa autor za dalszą próbę w ulubionym polskim systemie rządzenia, który z dzisiejszego punktu widzenia jest bezsprzecznie „demokracją z natchnieniem”. Śmierć Zygmunta Augusta, ostatniego z dynastii jagiellońskiej, która zapewniła Polsce złoty wiek rządów liberalnych /przy czym słowo „liberalny” — zaznacza Wyndham Lewis — należy brać w jego szlachetniejszym sensie/, umożliwiła Polsce, do tego czasu rzeczypospolitej pod rządami królów dziedzicznych, przejście do ustroju, opartego na królach elekcyjnych. *Pacta conventa* z Henrykiem Walezjuszem są interesujące. Król musiał m.in. zaprzysiąc, że nie wypowie wojny bez zgody sejmu i że będzie wierny zasadom tolerancji religijnej, dzięki której Polska, „naród, przedtem jak obecnie, najgorliwiej katolicki, zasłynęła jako azylum hereetyków, „*Asilum Hereticorum*”, gdy otworzyła granice dla wygnanych przedstawicieli wszystkich sekt i zapewniła im całkowitą wolność, podobnie jak Żydom”. *Pacta conventa*, które nie bardzo harmonizowały z pojęciem królewskości, nie musiały iść w smak kapryśnemu egotyście, jakim był Henryk Walezjusz. Zgodził się na nie zapewne nie bez wahań i protestów, pod naciskiem swojej despotycznej matki Katarzyny Medicis, odrzucając tylko klauzulę o małżeństwie ze starszą od niego o lat dwadzieścia siostrą Zygmunta Augusta.

Tak więc — ciągnie Wyndham Lewis — z niechęcią udawał się Henryk Walezjusz na najbardziej zakazane pustkowie. Ale wbrew opinii poety francuskiego Philippe'a Desportes, Walezjuszu towarzyszył mu w podróży po koronę, nie było to znowu takie pustkowie. Odrodzenie ogarnęło Polskę, Kraków rozwijał się architektonicznie i umysłowo. Kopernik rewolucjonizował astronomię, nowinki kwitły /mimo że uniwersytet krakowski, jeden z najstarszych w Europie, podobnie zresztą jak Sorbona, przez pewien czas się im przeciwstawiał/, a poeci, jak Krzycki, Janicki, Dantyszek, nade wszystko zaś Kochanowski, nie dali się nikomu w Europie prześcignąć w znajomości łaciny. Kochanowski, nazywany Ronsardem Polski i jeden z najgorętszych entuzjastów Ronsarda, musiał się przyglądać wymuskanemu Desportes'owi z małą życzliwością. Wkrótce nadarzyła się okazja do przetrzepania go po palcach, ku uciesze Europy.

Rzecz prosta, że ani Kraków, ani Warszawa nie zasługiwały w owych czasach na przewzisko drugiego Paryża i nie mogły przypaść do gustu rozpieszczonym francuskim dandydom. Ówczesna Polska — błota, lasy, zaniedbane drogi, nędzne wsie i miasta, na pół barbarzyński wygląd chłopów, Żydzi, kolekcja hereetyków /*assorted heretics*/ musiała przyprawiać Francuzów o dreszcze. Desportes — można niemal słyszeć jego protesty, wydziwiania i wykrzywania się, „niczym małpy na wietrze wschodnim” — zapewne wcześniej zaczął lżyć Polaków jako nędzarzy, barbarzyńców, pyszałków i pleciugi. Na razie — z rozkazu króla — milczał, notował i przetwarzał swoje wrażenia na wytworne sonety satyryczne.

Także entuzjazm Polaków zmniejszył się po przybyciu króla. Poblążliwa uprzejmość Henryka i jego święty, próba zaszczepienia na Wawelu sodomskich obyczajów /Wyndham Lewis poprzednio już zaznacza, że obecność ambasadorów Sodomy i Gomory oraz ministra pełnomocnego Lesbos na francuskim dworze Henryka III nie mogłyby się wydawać rzeczą dziwną/, demonstacyjnie objawiane przez nowego monarchę znudzenie wielogodzinny obradami sejmu — wszystko to w krótkim czasie przekonało Polaków, że z „europejskiej talii” nie najlepszą wyciągnęli kartę.

\* Ronsard. By D. B. Wyndham Lewis. Londyn. Sheed and Ward, 1944; str. XI i 1nl. i 340 i tabl. 6.

Autor daje z kolei malowniczy opis ucieczki Walezjusza na wieś o śmierci Karola IX; cytuje wiersz Desportes'a „*Adieu, Pologne...*” i tak kończy: „Najbardziej obelżywy, nieszlachetny exit, niegodny Walezjusza i na pewno nie charakterystyczny dla Henryka Andegawczyka, któremu nie brakło smu wdziewki ani wychowania. Słuszny gniew i wzgardę Polaków ukazał umiejętnie światu Jan Kochanowski, który pozostał łatwym zwycięzcą w wynikłym stąd pojedynku poetyckim z Desportes'em; do satyrycznej „*De Electione, Coronazione et Fuga Galli*” /“O elekcji, koronacji i ucieczce Francuza”/ niewiele dobyć się dodać. W najbliższym roku mądrzejszy sejm obrał królem Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego; rzucił on Iwana Groźnego na kolana i byłby zdruzgotał Moskwicina o kamiennym sercu gdyby nie interwencja papieża. Nieco później Polska, stała przedmurze chrześcijaństwa, uratowała Europę, pod Sobieskim, przed Turkami; w trzysta lat później, pod Piłsudskim, przed bolszewikami. *Stabat et stabit*”.

## NAPOLEON A ODBUDOWA POLSKI

Znany historyk angielski, autor licznych studiów z zakresu dyplomacji, G. P. Gooch, w tomie szkiców „*Courts and Cabinets*” poświęca dwa rozdziały omówieniu pamiętników Caulaincourta, których ogłoszenie w r. 1933 uznaje za ostatnie wybitne zdarzenie w dziedzinie badań nad epoką napoleońską. W rozdziale „Caulaincourt, Napoleon and Alexander” Gooch przytacza fragmenty rozmowy Napoleona z Caulaincourtem na wiosnę r. 1811, po powrocie

\* *Courts and Cabinets*. By G. P. Gooch, D.Litt., F.B.A., author of „*History of Modern Europe, 1878-1919*,” „*Studies in Diplomacy and Statecraft*,” etc. Londyn, Longmans, Green, 1944; str. 323 i 1nl.

Caulaincourta z Petersburga, po czteroletnim ambasadorowaniu przy dworze tamtejszym.

W tej rozmowie Caulaincourt nakłania cesarza do usunięcia wojsk z Prus i z Gdańska, gdyż Rosja czuje się nimi zagrożona, dodając, że oczywiście jeśli cesarz zamierza odbudować Polskę — co pozostawałoby w sprzeczności z sojuszem z Rosją — uwagi jego są zbyt czyste. Napoleon odpowiada, że nie zamierza odbudować Polski, i w kilka chwil potem zapewnienie to jeszcze raz powtarza. Jeśli tak — odpowiada Caulaincourt — niezrozumiałe jest, dlaczego cesarz chce narazić sojusz z Rosją i dlaczego wojska francuskie mają pozostać w Prusach i w Gdańsku.

Po przegranej kampanii rosyjskiej, w czasie powrotu przez Księstwo Warszawskie Napoleon wyraża przekonanie, że nie wszystkie stracone: jeśli Polacy chcą na nowo być narodem, zdobędą się na powstanie „*en masse*”, a on ich uzbroi; jeżeli nie zechcą, można będzie przestać się z nimi liczyć a porozumienie z Rosją nie będzie przedstawiało trudności.

## POLITYKA ZAGRANICZNA WIELKIEJ BRYTANII A POLSKA

„Honor jest żywotnym czynnikiem w polityce zagranicznej” — pisze znany polityk angielski, brat obecnego ministra wojny, Sir Edward Grigg, w książce „*British Foreign Policy*”. „Mówimy o „honorowaniu naszych zobowiązań”. Nie ma żadnej kwestii, że parlament i naród zawsze tego pragną”. Ale mimo najlepszej woli, nie zawsze się to udaje. Zdarza się bowiem, że zaciągają się zobowiązania, przekraczające środki, które mamy do rozporządzenia.

\* *British Foreign Policy*. By Sir Edward Grigg, K.C.M.G., K.C.V.O., D.S.O., M.C., M.P. Londyn, Hutchinson, 1944; str. 192.

W „pośpyny sposób /*luridly*” ujawniło się to na przykładzie gwarancji udzielonych na wiosnę 1939 r. Polsce i Rumunii. Stąd wniosek, że należy zaciągać tylko takie zobowiązania, które można wykonać, i że należy powstrzymać się od „moralnego potępienia”, o ile nie jesteśmy przygotowani do podjęcia akcji, gdy to moralne potępienie nie odniesie skutku. Tak więc n.p. nie należało potępiać Rosji za wojnę przeciw Finlandii w zimie 1939-1940: „wprowadziliśmy w błąd dzielny /*brave*/ naród fiński, który odpowiedział na nasze słowa otuchy i od którego nie należy oczekiwać uznania dla zmiany tonu; jaka potem nastąpiła”.

Grigg cytuje sceptyczne słowa Churchilla z dn. 19 maja 1939 r. na temat gwarancji udzielonej Polsce bez zapewnienia sobie możliwości wprowadzenia jej w życie, co więcej, dodaje że bez wojskowej poparcia Rosji, była ona całkowicie bez wartości. Z chwilą podpisania rosyjsko-niemieckiego paktu o nieagresji z sierpnia 1939 r. gwarancja straciła nawet swą wartość „odstraszającą”.

Grigg usiłuje usprawiedliwić ówczesną politykę Stalina jego brakiem zaufania do mocarstw zachodnich i obawą że Monachium może się powtórzyć. Ale nawet, pomijając tę obawę, sojusz wojskowy z mocarstwami zachodnimi na jesieni r. 1939 był z wielu względów niebezpieczny dla Rosji: nie wiadomo n.p. — pisze Grigg — jak zachowałyby się Polska, gdyby Niemcy oświadczyli, że ich głównym celem jest zniszczenie Sowieców. Stalinowi chodziło przede wszystkim o bezpieczeństwo Rosji, a przez porozumienie z Hitlerem zyskiwał na czasie. Zajęcie wschodniej Polski było zabezpieczeniem strategicznym, nie odbyło się kosztem Polski, która — powalona przez Niemcy — przestała istnieć jako państwo niepodległe. Zapobieżenie wchłonięciu całej Polski przez Niemcy oddaliło armię

niemiecką od Moskwy o dwieście mil; ten zysk dwustu mil, być może, ocalił później stolicę Rosji.

Możnaby wprawdzie odpowiedzieć Griggowi, że jeśli udział w rozbiórce Polski oddalił armię niemiecką o dwieście mil od Moskwy, brak zgody na rozbiór Polski mógł utrzymać armię niemiecką o dalsze czterysta mil od Moskwy, ale nie będziemy tu wdawali się w polemikę. Trudno natomiast nie zakwestionować porównania zajęcia wschodniej Polski przez Rosję z zajęciem francuskiej Afryki Północnej przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone: ani Wielka Brytania ani Stany Zjednoczone nie oświadczyły przecież, że zamierzają francuską Afrykę Północną zachować w swym władaniu.

Nutą przewodnią książki Grigga jest konieczność utrzymania pełnego porozumienia z Rosją po zakończeniu wojny. Grigg ustawicznie przekonuje czytelników i siebie, że Rosja nie ma żadnej istotnej przyczyny, by okazać brak umiaru. Tak n.p. Rosjanie będą mieli ręce pełne roboty w domu, poza tym pozbawieni są zaborczości; nadto cechuje ich isticie angielskie poczucie humoru i ludzkość. Dowód: w żadnym innym kraju „Klub Pickwicka” nie zdobył takiego jak w Rosji uznania i powodzenia.

Polska — mówi Grigg — musi jasno rozstrzygnąć, czy przyszłość jej polega na przyjaźni z Rosją, czy z Niemcami. W przeszłości miała ona „dostateczne powody /*good reasons*/” do odwołania ostatecznej decyzji. Całkowicie wiarogodna osoba poinformowała Grigga, że Polska w r. 1933 proponowała wspólną akcję celem zapobieżenia remilitaryzacji Nadrenii; gdy nie spotkała się to z poparciem Wielkiej Brytanii i Francji, Piłsudski w następnym roku zawarł pakt o nieagresji z Niemcami /Grigg pomija milczeniem fakt, że jednocześnie zawarł pakt o nieagresji z Rosją/. Wybór ten był nieszczyśliwy, ponieważ Niemcy przygotowywały wojnę a Rosja chciała pokoju. Jeszcze bardziej nierozsądne było skorzystanie z okupacji Czechosłowacji przez Niemcy w r. 1939 w celu zagarnięcia terytorium dla siebie. /Rzecz prosta, chodzi nie o r. 1939, ale o jesień r. 1938./

Położenie Polski pomiędzy dwiema potęgami wojskowymi, jak Niemcy i Rosja, jest zawsze niepewne: żądanie Rosji, by Polska opowiedziała się za sojuszem z nią, nie da się zakwestionować. Co więcej, Rosja jest uprawniona do stworzenia pewnej sfery wpływu na swojej zachodniej granicy, choć nie może to zagrażać niepodległości mniejszych państw. Utrzymanie przez nie niepodległości jest tym bardziej konieczne, że cywilizacja rosyjska różni się od cywilizacji państw Europy środkowej i zachodniej /nawiasem mówiąc, związek Polski ze światem cywilizacji zachodniej podnosi Grigg wielokrotnie/ i narody, które mają szczerą przeszłość, narody które wiedzą co znaczy niepodległość, muszą mieć możliwość oddychania własnym powietrzem i kształtowania własnego sposobu życia „szczególnie tam, gdzie — jak na zachodniej granicy Rosji — różnice rasowe, religijne, historyczne i kulturalne nadają poczuciu narodowemu piętno szczególnie narzucające się i dobitne”.

Przy tej zasadzie Wielka Brytania musi obstawać za wszelką cenę, inaczej sprzeniewierzyłaby się swej historii i przestałaby być jedynym ośrodkiem, dokoła którego może odrodzić się Europa zachodnia. Wielka Brytania musi być silna wojskowo i trzymać w szachu Niemcy: w przeciwnym wypadku Rosja będzie zmuszona do zabezpieczenia swoich zachodnich granic poprzez przewagę wojskową nad swymi sąsiadami zachodnimi: z kolei doprowadzi to tych sąsiadów do ruczenia się w ramiona Niemiec, z którymi — jeśli chodzi o kulturę i sposób myślenia — mniej dzieli je niż z Rosją.

Grigg przewiduje, że Polska uzyska w rezultacie wojny część Prus Wschodnich i resztę Śląska.

W dodatku do książki znajduje fragment z przemówienia premiera Mikołajczyka, wygłoszonego dn. 3 maja b.r. w Central Hall, Westminster.

## Skrzynka pocztowa

### O POMOC DLA WARSZAWY

Do redakcji „Polski Walczącej”,  
Dziś, z wolnej, warszawskiej radiostacji „Błyskawica” padły słowa skargi, słowa, które moźnych tego świata i wszystkich, którzy noszą w sobie choć najdrobniejszą cząstkę człowieczeństwa musiały poruszyć do głębi. Odbyły się one głęboko w sercach marynarzy polskich. Ci marynarze, którzy przeszli Dunkierkę, Lofoty, Dieppe, kampanie północno-afrykańską, Sycylię, Salerno, Dodekanesy, atak na „Forteczkę Europejską”, którzy do obecnej chwili dzień i noc są w akcji, ci marynarze, których nie przeraża krew własna ani wroga, dziś, słuchając słów umęczonej, samotnie, bez pomocy walczącej Warszawy — płakali!

Placz ten, choć cichy, pozostawał w sercach słony osad. Paroksyzm bólu krzywił te serca i pacy, a z głębi nie może się wydostać inny głos ponad ten: „Pomóżcie Warszawie!” „Pomóżcie naszym miastom!”

Żądamy tak mało, a za Ich i naszą krew przelaną, w imię Wolności mamy prawo żądać: „Pomóżcie Im!!!”

Skoro są możliwości nalotów na Tokio, skoro prasa i radio stale nam mówią: „Nie ma zakatka w Europie, gdzie by nie dotarły alianckie samoloty...”, to czyż tym zakatkami ma być Warszawa!? Krwawiąca samotnie cztery tygodnie!? Czyż postawa Ich i bohaterstwo, które napawa zdziwieniem nawet dzikich Hunów, nie może znaleźć należytego zrozumienia wśród narodów cywilizowanych? Jakie czynniki na to wpływają?

Czy my tu na pokładzie okrętu Rzeczypospolitej Polskiej możemy być spokojni? Czy możemy spokojnie iść na morze, skoło wiemy, że tam, na barykadach Warszawy giną w nierównej walce nasi najbliżsi? Ginią samotni, opuszczeni przez świat! Wróg wykorzystuje to dla swoich celów.

Gorycz, straszna gorycz, która zaturauwa serca, paraliżuje wolę i obojętnia. Jesteśmy częścią Ich i tak jak oni trzymamy miecz zawsze gotowy do zadanego ciosu. Zawsze jednak ciskając się w bezsilności — p i a c z e m y !

Świat powinien, świat musi to oćenić! Jest to głos z pierwszej linii frontu — głos Polskiego Okrętu!  
Cześć Warszawie!

Na pokładzie O.R.P. „Błyskawica”  
29 sierpnia 1944 r.

Mieczysław Tatarynowicz

### GŁOS SYMPATII ANGIELSKIEJ

Dear Sir,  
At one time Poland was just a place on the map, but since we have met some of its people we have learned to admire it.

We have entertained many in our home, and have been struck by their good manners, love of music, and little children. God grant your nation may soon recover its freedom.

Yours,

G. Hardwick

You may use this in your paper if you wish.

To the Polish Forces

To all you soldiers gathered here,  
From Poland's far off land,  
We welcome you to this canteen  
With friendly helping hand.

You've sailed across the ocean wide,  
With strangers here you roam.

### Poradnik żołnierski

„Africa Star” — Prosi Pan o wyjaśnienie w sprawie odznaki „Africa Star”: komu ona przysługuje i czy mogą się o nią ubiegać Polacy.

Rozumiemy, że chodzi Panu o tych żołnierzy Polaków, którzy brali udział w kampanii afrykańskiej, a więc obrońców Tobruku, czyli żołnierzy Brygady Karpackiej.

Sprawa tego odznaczenia jest wielce skomplikowana. W zasadzie „Africa Star” była przewidziana dla uczestników kampanii afrykańskiej, wchodzących w skład jednostek brytyjskich, imperialnych i kolonialnych. Jest tam sporo zastrzeżeń, m.in. takie, że nie można otrzymać „Africa Star”, jeśli się ma inne odznaczenie, choćby innego państwa, za jakiś wyczyn w tej samej kampanii.

Sprawa przynaglenia odznaczenia „Africa Star”, względnie ścisłego ustalenia komu może przysługiwać lub też kto może się o nie ubiegać — wywołała szereg wątpliwości nie tylko u nas i u innych rządów państw sprzymierzonych, lecz także w rządzie angielskim. Wobec tych wątpliwości, rząd angielski wystosował do rządu polskiego memoriał w tej sprawie, który jest przedmiotem studiów. Nie należy oczekiwać rychłego jej rozstrzygnięcia.

But we will do the best we can  
To make you feel at home.

When we but think of Poland's fate  
Our hearts are very sore  
To think of all your native land  
So ravaged by the war.

Just as your ways are strange to us  
So yours, to us appear.  
Yet we as brothers all can stand  
And share our hopes and fears.

Your great Vistula is made up  
Of many varied streams  
So Polish folks and Britishers  
Can be as one in dreams.

In time the Warsaw bells will ring  
As merry as can be;  
And this the message of the chimes:  
Our Poland now is free.

### W SPRAWIE FOTOREPORTAŻU Z NORMANDII

Szanowny Panie Redaktorze,  
Pisze do Panów ranny żołnierz 1. Dywizji Pancerniej — lewą ręką. Z prawdziwą przyjemnością wzięliśmy dziś do rąk nr. 34 „Polski Walczącej” z dnia 26 b.m. Gazet polskich prawie nie można otrzymać, tym bardziej ucieszyły nas fotografie z terenu walk — radość ogromna. Coż kiedy w fotoreportażu na str. 4 na zdjęciu, mającym przedstawiać zniszczony czołg niemiecki, figuruje nasz rodzony polski „Sherman”!

Albo kogoś strach obleciał i miast sfotografować rozbit „Tygrysy”, które sam osobiście widziałem i których dotykałem — wołał skierować swój obiektyw na własny uszkodzony czołg, albo znajomość sprzętu nieprzyjacielskiego jest tak niewielka, albo pismo w gruncie rzeczy nie bardzo dba o to, co czytelnicy powiedzą na tego rodzaju lapsus. A jednak ci czytelnicy, to prawie wyłącznie żołnierze, którzy dość żywo i niechętnie reagują na takie omyłki, jak podanie zdjęcia okrętu podwodnego, jako kontrtorpedowca, armatki pancerni, jako artylerii ciężkiej /wszystko to już było w naszych, czasem trochę niechlujnych gazetkach/ i t.p.

I jeszcze jedno: Polacy zniszczyli dość czołgów niemieckich, by nie potrzebować fotoreportażu w ich miejsce własnych. I za naszą ciężką, możliwie odwaloną robotę, mamy prawo oczekiwać w fotoreportażach czegoś więcej, niż uśmiechnięte twarze generałów — i własne straty w czołgach typu „Sherman”, do wrogich absolutnie niepodobnych.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Michał Zawadzki

SCRUTATOR

## Dla Polaków w Rosji: £11,120

Dla uczczenia pamięci poległego na polu chwały we Francji ppor. Wacława Morawskiego, z którym łączą się w sposób serdeczny i przyjaźni i wspólnie, przekazujemy £2 na "Pomoc dla Polaków w Rosji".

Czołówka Teatralna  
"Lwowska Fala"

Przesłałem przez bomb. Eugeniusza Prz. 5 sh. na koszt przesyłki kilku numerów "Polski Walczący" redakcja w Rosji na Pomoc dla Polaków w Rosji.

Łączną sumę zbiórki w dzisiaj-

szym numerze £25.0 /słownie: dwa funty, pięć szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £11,120.46 /słownie: jedenasto tysięcy sto dwadzieścia funtów, cztery szylingi i 6d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 350 dolarów amerykańskich, 15 czerwieniów 100 milrejsów brazylijskich.

## Na "paczki od serca": £3,683

Zalążam Money Order na sumę £1 z prośbą o przekazanie na "Paczki od serca".

st. dragon

Przesyłam bezimiennie £1 /jedyn funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

Łączną sumę zbiórki w dzisiaj-

szym numerze £2 /słownie: dwa

funty/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polakom Jenciom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet. Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £3,683.68 /słownie: trzy tysiące sześćset osiemdziesiąt trzy funty, sześć szylingów i 8d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

### NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO

Przesyłając za pośrednictwem "Polski Walczący" 5 szylingów na szpital im. gen. Sikorskiego, zapraszam do składki: Lenkiewicza Norberta, Szniaka Józefa i Straucha Franciszka z dalszym przekazaniem łącznych składkę na ten cel następnym kolegą.

Józef S. pch. R.A.F.

### NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14. WIELKOPOLSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

Redakcja "Polski Walczący". W załączeniu przesyłam P.O. na sh.4 z przeznaczeniem na wdowy i sieroty po żołnierzach b. 14 D.P. Wielkop.

W.J. Student Wielkopolański

## Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczący". W załączeniu przesyłam kilkanaście książek dla Polaków na Wschodzie.

Wiktor Bielski

Załączone: H. G. Wells: "Crux Ansata", C. E. M. Joad: "Guide to Modern Thought", MacCallum: "Nauka angielskiego", K. Podgórski: "W cieniu skrzydeł", K. Wierzyński: "Ziemia-Wileczyca", Z. Nowakowski: "Przyladek Dobrej Nadszkiej", R. Vansittart: "Czarny Rajest", M. Hemar: "Adolf Wielki", S. Majewski: "Jedenasty Pancerny", W. Broniewski: "Bagnet na broń", S. Baliński: "Tamten brzeg nocy", R. Umiasztowski: "12 mil do Warszawy", K. Księga ponurych niedopowiedzeń", B. Prus: "Omyłka", A. Fiedler: "Ryby śpiewają w Ukajali", S. Strzelicki: "Goering poluje na rysie", I. Matuzewski: "O co walczyliśmy", "Pomniki literatury o czystej" /2 egz./, J. Pietkiewicz: "Znaki na niebie" i 1 egzemplarz "Co słychać".

### DO WSZYSTKICH RANNYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH PRZEBYWAJĄCYCH W SZPITALACH NA TERENIE W. BRYTANII

Celem stworzenia możliwości dla rychłego doręczenia pocztu i wszelkich przesyłek prywatnych rannym żołnierzom, którzy przebywają obecnie w różnych szpitalach brytyjskich i polskich na terenie Wielkiej Brytanii, każdy zainteresowany żołnierz winien niezwłocznie przesłać obecny swój adres do Biura Opieki nad Żołnierzem — referat pocztowy M.O.N. Adresować należy do: Postal Officer Polish H.Q. Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1. podając czytelnie: stopień, imię i nazwisko, nazwę i miejsce szpitala oraz ewentualny Nr. pocztu polowej. Należy również podawać każdorazowo zmianę miejsca pobytu.

## Na pomoc Warszawie

c/o The Editor of Weekly "Fighting Poland",

5, Portugal Str., London, W.C.2.

Dear Sir,

Three children aged nine: Shirley Walton, Mavis Owen and Kathleen Bullen gave a Garden Party, and the proceeds, £35.0, they would like you to accept for your funds.

The children say that in this way they would like to help in the relief of Warsaw, which we hope will be soon.

Enclosed are postal orders for £35.0.

Yours faithfully,

H. Walton /Mrs./  
on behalf of the children

Szanowny Panie Redaktorze, Przesyłam bezimiennie M.O. na £5 /pięć funtów/ na pomoc dzieciom w Pruszkowie.

N.P.

Szanowny Panie Redaktorze, W załączeniu przesyłam 10 szylingów /dziesięć/ zebraną przez Miss Jean Scott, Post Office, Kingskettle, Fife.

Kwotę powyższą proszę przekazać na Polski Czerwony Krzyż — pomoc Warszawie.

Z poważaniem

J. Karas

## Polish Children Rescue Fund

Redakcja "Polski Walczący",

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £7 sh.8 d.6 i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy do Funduszu Ratowania Dzieci Polskich. Jest to dochód ze Szwalni pochodzącej w Świetlicy przez polskie ochotniczki W.A.A.F. w Szkole Pilotażu Podstawowego.

Z poważaniem

Świetliczarka J.N.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwracam się do pana Redaktora z prośbą o łaskawe przyjęcie kwoty pieniężnej w wysokości £1 jako zysk ze sprzedaży aparatu fotograficznego. Kwotę tę pragnę złożyć na Funduszu Pomocy Dzieciom Polskim.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

K. Andrzej

W załączeniu przesyłam kwotę £3 /słownie: trzech funtów/ złożoną

przez grupę małoletnich lotnictwa z Cr. obozujących w Ha. w sierpniu b.r. na Polish Children Rescue Fund.

światliczarka Irma P.

Redakcja "Polski Walczący". Zamiast "lampki wina" w dniu imienin przekazuję 2 funty na pomoc dla biednych dzieci polskich.

inż. Stefan W.

Łączną sumę zbiórki w dzisiaj-

szym numerze £13.86 /słownie: trzynaście funtów, osiem szylingów i 6d./ przekazaliśmy do Polish Children Rescue Fund. Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £578.66 /słownie: pięćset siedemdziesiąt pięć funtów, sześć szylingów i 6d./.

# WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

### MALY ŻOŁNIERZ



Mały Szkot: — Panie Szkot, jak pan chce z nami chodzić na spacer, to musi się pan nauczyć chodzić! Niech pan zmieni krawat, bo ... wysiadam z koszyka! ...

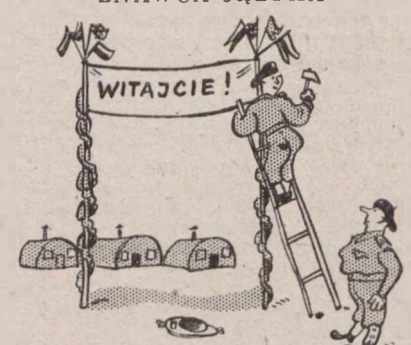
Nieoficjalnie mówi się, że generał Maczek otrzymał przydomek — generał Maczuga-Maczek.

Mówią, że hasłem I. Dywizji Panczernej w stronę Niemców: "Wskocz do worka" ...

### TEMATY WOJSKOWE WŚRÓD PANI

—Co pani mówi, to ten pułkownik od spadochroniarzy został generałem ...  
—Ale chyba nie czasu wojny?  
—Wszystko możliwe, przecież on był oficerem zawodowym ...

### ZNAWCA JĘZYKA



—Co wy robicie?  
—Dekoruje wejście na przyjazd ochotników.  
—Ilu ich przyjeżdża?  
—Jeden.  
—To dlaczego piszecie w liście mnogie?  
—Bo to po "wojskowemu" — przez "wy" ...

### FRASZKI NORMANDZKIE

#### PRZEWAGA LOTNICZA

Kiedy wsparcie alianckie — hyc, skoczyć do rowu, spojrzal w górę i spytał z niepokojem szczerym: "Is your bombing really very necessary?!"

#### WOREK

Workiem zwali Polacy pulapkę pod Falaise. Anglik nazwał ją — pocket. Nie sprzeczą się wcale.  
Stosując różne nazwy, fakt się nie zmieni. Więc Polak bitł po worku, Anglik — po kieszeni.

#### TRUP W REDAKCJI

Raz "Dziennika Żołnierza" na kółkach chalupa stanęła tam, gdzie właśnie było m.p. trupa. Redakcji na wspomnienie wilgotniejszą oczy. Poczuwiy trup! On jeden na "Dziennik" nie psioczył!

#### GLUPI KOTEK

Raz kocie, między jednym a drugim posysem żaliło się swej mamie, że chce być tygrysem. Rzeka mu na to kotka: "Skocz z tymi żalami! Czy ty wiesz, co Polacy robią z Tygrysami?!"

OR-SI

### PEWNE ECHA W PRASIE LONDYSKIEJ



"Fuzja" nawalita ...

Tekst i rysunki: TONY

### RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POZYTECZNE

Czy wiecie ... ?  
1/ Jak nazywacie się poprzędnie: a/ Iran, b/ Thailand, c/ Oslo?  
2/ Jakich były nazwiska autorów pisujących pod pseudonimami: a/ Mark Twain, b/ Voltaire, c/ Boz, d/ Bolesław Prus?  
/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

Facet ze stu funtową bombą pod pachą zajął miejsce w autobusie. — "Co Pan tutaj ma?" zapytał konduktor. — "To? To bomba z opóźnionym działaniem. Wiozę ją na przelocie". — "Ależ człowieku" — odrzekł konduktor — "przecież takiej rzeczy nie trzyma się pod pachą. Położ ją pod siedzenie".

W barze pewnej kantyny oficerskiej w Stanach Zjednoczonych wi-

dnie następujący napis: "Napoje alkoholowe nie będą pod żadnym warunkiem wydawane podpułkownikom lotnictwa /Air Corps Lieutenant. Colonel/ aniż w wieku lat 21, chyba że będą oni w towarzystwie rodziców".

Energiczny kupiec londyński, Anglik, właśnie zwolniony z wojska, przywykły do dużych interesów, który ma zamiar w najbliższym czasie przenieść się do Francji, pragnie objąć zastępstwo poważnej firmy brytyjskiej. /Ogłoszenie w "Timesie"/.

Odpowiedź: 1/ Persja, b/ Siam, c/ Christiania.  
2/ a/ Samuel L. Clemens, b/ Francois Marie Arout, c/ Mark Dickens, d/ Aleksander Głowacki.

### DO RANNYCH Z FRANCJI

Klub Polskich Ziem Zachodnich zwraca się do wszystkich rannych członków Klubu, znajdujących się na terenie W. Brytanii o niezwłoczne podanie swych nazwisk i adresów pod adresem Klubu w Londynie: 45, Belgrave Sq., London, S.W.1.

### SPIS RZECZY:

Andrzej Pomian: Wolność jest jedna. — Triarius: Przegład tygodniowy. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — Pod znakiem Polski Walczący /Andrzej Pomian: Jak powstał znak. Jas: Walka — aż po śmierć. Jas: Braterstwo. Tas-Jas: Na polskopolskiej granicy/. — Aleksandra Dobrowolska: O Dywizjonie Ziemi Mazowieckiej. — Ryszard Kiersnowski: Łzy i uśmiech Francji /Korespondencja własna/. — S.p. ppor. Wacław Morawski. — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Skrzynka pocztowa. — Na Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca". — Na pomoc Warszawie. — Polish Children Rescue Fund. — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

### MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

zawiadamia o wydaniu podręcznika

M. AUERBACH i K. DĄBROWSKI

## "GRAMATYKA ŁACIŃSKA"

Podręcznik dla wszystkich klas gimnazjalnych.

Str. 164.

Cena 3/6

Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

### WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel. HOLborn 7600. I-e piętro.

Redakcja przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2 Registered at the G.P.O. as a newspaper.

### KURS KORESPONDENCYJNY

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Londynie zawiadamia, że Kurs Korespondencyjny przedmiotów polskich, prowadzony przez Ośrodek Nauczania Korespondencyjnego w Glasgowie, wznawia swą działalność po wakacjach w drugiej połowie września b.r.  
Kurs jest w pierwszym rzędzie przeznaczony dla młodzieży polskiej studiującej w szkołach brytyjskich, korzystając z niego może również młodzież znajdująca się w Armii Polskiej w W. Brytanii.  
W nowym roku szkolnym, 1944-45, będą prowadzone dwa kursy: 1/ dla nowoogłoszonych; 2/ dla dotychczasowych uczestników, którzy przerobili już materiał 1-go roku nauczania.  
Za robzone lekcje od uczniów stałych nie pobiera się opłat.  
Zgłoszenia należy kierować do Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego — Polish Centre of Teaching by Correspondence, 61, Hillhead Street, Glasgow, W.2.

Poszukiwani: TADEUSZ i BOLESŁAW OGRODNIK ze Lwowa /synowie Zygmunta i Józefa/, TADEUSZ RYBNICKI ur. w r. 1924 w Krzemieniu syn Marii i Kazimierza/, Major STANISŁAW GĘBAROWICZ z 40 p.p. ze Lwowa. Wiadomości uprasza się kierować do redakcji "Polski Walczący".

### POLITECHNIKA

Rada Akademickich Szkół Technicznych zawiadamia, że przyjmuje zapisy na akademickie studia techniczne wszystkich lat i wydziałów.

Kandydatki winny składać podania o przyjęcie na studia do dn. 1-go września b.r. na adres:

Rada Akademickich Szkół Technicznych, City & Guilds College, Room 230, Exhibition Road, London, S.W.7.

W podaniu o przyjęcie na studia techniczne należy podać zyciorys, wykształcenie, ewent. odpisy dokumentów stwierdzających odbycie studiów oraz wydział na jaki kandydat chce być wpisany.

Osoby wykształcone winny drogą służbową podanie o odkomenderowanie na studia techniczne pod opieką Rady A.S.T. Dla osób cywilnych obowiązuje zezwolenie na studia z Ministry of Labour.

Przyjęci na studia otrzymują stypendium.

Kandydatki, którzy złożyli podanie do Rady A.S.T. po 1 marca 1944 r. nie potrzebują podać ponownie do Rady nadsyłając.

Przewodniczący

Rady Akademickich Szkół Technicznych — Prof. S. Pułański